



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## PO WAKACYACH.

### II. 1)

Pierwszą z głównych podstaw kształcącego wpływu wychowania, jest uszanowanie dzieci dla rodziców, oparte na szacunku dla ich godności moralnej — ich rozumu i cnoty. Dziecko, które już małe nie jest, w którym zaczyna już budzić się wola i jakakolwiek siła rozumowania, potrzebuje tak czuć, aby słuchać, nie przez gwałt łamiącego je przymusu, ale z przekonania, że posłuszeństwo dla rozkazów rodzicielskich wiedzie je ku szczęściu i dobru.

Drugą, zaraz z kolei idącą zasadą wychowawczą, powinno być rozbudzenie w pierś dziecka uszanowania dla własnej jego istoty — uszanowania zarówno złączonego z szacunkiem, z pojęciem pewnej moralnej wartości swojej, pewnej godności swego ducha. Osobista godność nasza nie jest niczem innym, tylko takim uszanowaniem samego siebie; raz zatracone, nie odzyskuje ono się łatwo, a stan ducha wyrabiający się w nas wtedy prowadzi, albo do gardzenia sobą i rozpacz, albo do cynizmu, który jest najgłębszym już upadkiem natury ludzkiej. Więc i dziecko, które jest rosnącym człowiekiem, powinno w zakresie swoim podobnie czuć i myśleć: mieć przekonanie, że pomimo wad, braków, niedoskonałości swoich, nie jest jednak istotą nędzną, bez wartości żadnej, skoro tylko miłość dobra, dobra pragnienie posiada, igdy przez słabość, niewiedzę, brak zastanowienia, coś złego uczyni, do-

świadcza żalu, uczucia złamanego obowiązku. Więc też może, złe odrzucając, doskonalić się i rozwijać w kierunku szlachetnych przymiotów natury swojej: może wyrosnąć na prawego, uczciwego człowieka, i ta przyszłej jego godności nadzieja, ta otwarta przed nim perspektywa jasna, stawiając mu przed oczyma cel dostojny, budzi w niem własnej jego godności poczucie. Każde dziecko, tak usposobione, jest niby dziedzicem wielkiego mienia, wielkich zaszczytów, które mu się z czasem dostać mają, więc wyrabia się w niem uczucie godności i ten szacunek siebie, który jest dla każdej istoty ludzkiej w próbach życia wielką dźwignią, wielką pomocą, bo łączy się najściślej z uszanowaniem osoby swojej.

Szacunek ten od niskich upadków broni, od lichego poniewierania sobą strzeże; możnaby go zaprawdę nazwać aniołem, który

„drogą świata,

Ponad kałuże, błota i przepaście

Niesie bezpiecznie, czysto, nieskalanie.”

Im dziecko więcej zpod bezpośredniej opieki rodziców się wychyla, tem potrzebniejszym mu się staje taki stan ducha. W szkole i poza szkołą, w pierwszych z ludźmi stosunkach i w walce z samym sobą jest to jego pancerz, jego bussola duchowa, i z młodu uposażyć dziecko tym zmysłem zachowawczym — jest to dać życiu człowieka podporę najsilniejszą przeciw zaczajonym na niego próbom i niebezpieczeństwom. Zmysł ten został nam poniekąd danym od Boga, w głębi natury naszej złożonym, i o nim-to pisze Pascal: — „Pomimo widoku wszystkich nędz, które nas dotykają, które trzymają nas za gardło, istnieje w nas instynkt, zatłumić się niedający, który nas podnosi...” Ale wychowanie na tem właśnie polega, aby rozwijało wrodzone człowiekowi siły i skłonności dobre, przeciwstawiając je złym — owym nędzom, które nas duszą. Nie stwarza ono,

ale kształci: z surowych materyałów, składających bryłę pierwotnej istoty ludzkiej, wykuwa piękny posąg uszlachetnionego człowieka. Wielka wskazówka pedagogiczna zawiera się też w uwadze francuzkiego myśliciela, jakkolwiek umysł jego nie zaprzętał się w tej chwili pedagogią. Instynkt podnoszący człowieka z nizkości, dźwigający go ku górze, tryumfuje w nim *pomimo* widoku nędz, którym ludzkość podlega!... Zatem widok nędz owych gniew go ku dołowi, i aby tak pochylonym, poniżonym nie zostać, musi on walczyć przeciw wpływowi, wydzielającemu się z tego widoku ..

Czy to nie zatracający się w nim szacunek natury ludzkiej, widzianej w poniżeniu, jest tym wpływem zabójczym; czy to nie odbierana nam w ten sposób wiara w samego siebie?

Zaraza moralna, którą nazywamy złym przykładem, wydaje właśnie ten, ducha trujący miazmat, że nam dobro i piękno czyste przedstawia jako fantazyjną mrzonkę ideologów, niezgodną z prawdą życia, z prawdą natury ludzkiej. Wtedy człowiek upokorzony w ludzkości, która mu przed oczyma poziom swój zmienia, nieszanujący już samego siebie po utracie szacunku dla człowieczeństwa, i uszanowania dla istoty swojej pielęgnować już nie może i, jeżeli go ów protest szlachetnego jego ducha nie zatrzyma, schodzi z wyżyny swojej w dół.

Ale za to jest odwrotnie działająca, potężna siła w przykładzie dobrym, która dla ludzi znudzonych, dla ludzi przebywających twardą drogę życia, bywa nieraz w chwilach smutku, żalu, zniechęcenia, kordyalem dobrym, który ożywia i krzepi cudownie. Już nam ręce opadają, już usta chcą wyrzec: — Na co to?... dla czego?... gdy oto obraz w cichej uczciwości, w bezinteresownej ofierze pędzonego życia, poświęcenie wspaniałomyślne, czyn szlachetny, nie dla siebie, nie na rachunek pychy, próżności, używania swego spełniony, przynika nas, wzrusza, podnosi, jak podana ręka przy-



jaciela. Jest to przebudzenie nam w głębi siły, która zdrzemiała, jest to poruszenie przez anioła wód Siloe, którym przez to moc zdrowiejająca wraca nagle. Dobry przykład wyrwa nieraz z paszczy złego tłumu całe, aby je nieść ku dobremu, i wychowanie może też, powinno zużytkować to magnetyczne oddziaływanie duchów na duchy, uczynić z dobrego przykładu jedną z dźwigni swoich. Dziecku swemu zapewnić od urodzenia otoczenie uczciwe, któreby je najpierw, zanim władze rozumowania się rozbudzą, przez moc przyzwyczajenia już ku dobremu skłaniało, to w tym kierunku najpierwszy obowiązek rodziców i obowiązek wagi ogromnej. Oprócz nawyków uczciwych, od tego uczciwego otoczenia przejętych pod siłą bezwiednie naśladowanego przykładu, zostają jeszcze w pamięci dziecka, wspomnienia, które potem sobie odnajdzie i które będą mu pierwszym przyczynkiem do szanowania natury ludzkiej, połączonym z myślą o rodzicielskim domu. To również i wpływ rodziców nad rosnącym dzieckiem zachowuje się niezmiennie i wtenczas jeszcze, gdy świat wrażeniami swemi już na nie oddziaływa, gdy chłopiec zwłaszcza, już się z tym światem czynnie styka i wybierać potrzebuje pomiędzy złem i dobrem. Wybór, który uczyni: związki przyjazne, które zawrze, to znów będzie złych lub dobrych przykładów jakoby seryą nową, prawie stanowczą dla przyszłości młodzieńca, który teraz już coraz samodzielniej na życie patrzeć zaczyna. Duch jego przez nabywane w tej epoce upodobania i wstręty, przez wyrabiające się w nim przekonania, nabiera tego napięcia pierwszego, które jeżeli w stosunku do całego życia zupełnie wyrocznem nie jest, to bardzo blisko z tem się styka. Ciężko i trudno jest z głębi naszej to wyrwać, czem pierwsza młodość napoiła się i upoiła.

Po wakacjach też, gdy syn zostaje przez rodzinę szkole zwróconym, gdy zatem większa część rodziców z dzieckiem swem się rozdziela i nie może obrachować rozmaitych zetknięć, wpływów, oddziaływań, jakie wpleść się mogą w to życie, już poza obrębem rodzinnego domu, poza bezpośrednią strażą, poza bezpośrednim kierunkiem rodziców pędzone — czujna bacność rodziców, powinna jak duch domowego ogniska, isć przez przestrzenie za tym synem oddalonym i strzedz go, bronić, zasłaniać przed mocami złych wpływów, złych przykładów. Matce należy pisywać do syna często, tkliwie, miłośnie, a przytem szczegółowo, aby ta nie, która dotąd wiązała go z domem rodzicielskim przez węzłów tysiące, nie rozluźniała się, nie rozerwała wkońcu. Niech wie, co się tam dzieje z ludźmi i rzeczami, niech wie wszystko: o rodzeństwie młodszym, o sługach dawnych, o ludziach ze wsi i znajomych z sąsiedztwa. Niech wie, co się rozwija, kwitnie, dojrzewa w ogrodzie, niech wie czy odleciały już jaskółki, czy dzikie gęsi, żurawie, bociany ciągnęły już sznurami długimi przez zamglone powietrze, i jak wzbierają wody jesienne, jak lasy mieniają barwy swoje. Każda kobieta ma w duszy trochę poezji, zwłaszcza tej poezji rodzimej, która z ukochań serdecznych powstaje, i taki list matki do syna może nią tchnąć, może przynosić oddalonemu woń stron rodzinnych, ciepło rodzinnego domu. Także siostry, rodzeństwo młodsze, niech pisuje, choćby na liniach, choćby niezgrabnie stawianymi literami; niech listy ich naiwne słodkim wzruszeniem serce braterskie przenikają. Ojciec nie powinien także usuwać się od obowiązku korespondencji z synem, ale list ojcowski musi być poważniejszym, a zarazem i rzadszym, aby nie powszedniało wrażenie, jakie sprawić powinien. Pole dla korespondencji ojca z synem bardzo rozległe: nauka, świat, ludzie święte obowiązki człowieka i obywatela: oto zakres. Serce młodzieńca niech przy czytaniu listów matki bije wzruszone, roztkliwione, radosne; nad listami ojca niech się syn zaduma, niech na młode czoło, nad papierem schylone, wystąpi praca myśli rozumnej; niech z owego listu zostanie w tej myśli coś i na pogadankę z przyjacielem najlepszym.

Ach! przyjaciel naszego dziecka, któreśmy tak czujnie, tak starannie przy piersi naszej trzymając, strzegli od wszelkiej, bez naszego pośrednic-

stwa mogącej zetknąć się z nim rzeczą!... Kto on jest?

Przyjaźń zawiązana na ławkach szkolnych, to nieraz jeden z najdroższych węzłów dla serca męskiego; bo w biegu ciężkiego, trudnego życia, to ręka zawsze gotowa do szczerego uścisku, to słowo otwartej prawdy w chwili, gdy wszystkie inne usta milczą. Rodzicom nie godzi się też przeszkadzać synowi w zawieraniu tego z natury swojej szlachetnego, związku serca, który mu jest potrzebą moralną w nowem dla niego istnieniu, gdy dom gdzieś poza nim w tyle pozostaje, i on czuwa się pomiędzy obcymi samotnym. A przytem młody chłopiec to już w związku swym mężczyzna, i potrzeba mu poza ścianami rodzinnego ogniska przymierzy bratnich, sojuszu serc i duchów. Młodzieniec, którego rodzina w zbyt mocną, choćby najmiłośniej ściskającą, kleszcze tak ujmie, że się o niego ze światem targując, światu go nie puści: to zwykle potem powstać blada, charakter starty — istota papinkowata, bez mękości i siły. Mężczyzna, który ma w życiu czemś być, musi się z życiem tem zmierzyć, skąpać się w jego falach zimnych i gorących, zahartować się w nich do męskiego czynu. Druh serdeczny, to w tych próbach, które przyjdą brać miarę jego siły i energii, nabytek drogocenny, zwłaszcza jeżeli go da młodość, ta szczęśliwa pora życia, gdy serce ludzkie najtkliwszem jest, najczystsze i z uczuć swoich ideały sobie tworzy.

Nie mniej rodzice młodego chłopca nie powinni trzymać się obojętnie wobec tego zadzierzgującego się węzła uczuć ich syna, i ojciec powinien znaleźć się tu blisko, uważny i troskliwy. Lepiej on niż matka potrafi poznać i ocenić, co tu dla ich dziecka może być stratą, a co korzyścią, bo nie zawsze układność towarzyska, powierzchowność mniej więcej miła, rozstrzygać tu może. Ojcu należy koniecznie, nieodwołalnie przyjaciele syna poznać, do duszy jego zajrzeć i, w bliższy stosunek z nim wszedłszy, jakąś dłuższą gawędkę, raz, drugi zawiązując, do badać się kierunku jego myśli, skłonności, umiłowań, i odważyć potem na szali uważnego zastanowienia się: czy ten przyjaciel, to w życiu jego syna — nie zły przykład?

Ale są przyjaciele inne jeszcze, silniejszego może wpływu, mocniejszego oddziaływania na związki, w których bratają się dusze, idee ślubują sobie. Czytanie młodego chłopca, wybór pisarzy tych, a nie innych: to dla kierunku jego uczuć i myśli rzecz wagi ogromnej. Zła, a choćby tylko licha książka poniża; szalona obalamuci, gorączkowo rozogni, i przewrotnie wyzyska ten zapal młodzieńczy, który całą ognistością pierwszego płomienia płonie, a który przeciw gorzeć powinien tylko dla spraw rzeczywiście pięknych, świętych i wysokich. Grunt moralny, od kolebki dawany, dobre, rozumne wychowanie wiele tu znaczy; znaczy też wiele i niejakie możliwe już wyrobienie smaku estetycznego: lecz najwięcej może to, aby chłopiec młody miał już z domu wyniesione pewne drogie mu ideały, ku którym grawitowałyby przeważnie porywy jego uczuć i fantazyi młodej. Już przy pierwszym czytaniu należy działać w tym kierunku, który nazwałabym dla przyszłości dziecka ochronnym — nadawać smakowi i wyobraźni młodej napięcie dobre: i dlatego to sąd krytyki o książkach do czytania dla dzieci i młodzieży powinien być bezwzględny i surowo sprawiedliwy. Nic szkodliwszego nad te mdłe, bez talentu pisane w moralizującą tendencją książki, które, najpierw nudząc młodych czytelników, wstręt do czytania w nich wyrabiają; powtórę zabierają miejsce książkom innym, odpowiadającym lepiej przeznaczeniu swojemu. My, na nie-szczęście, talentów w piśmiennictwie dla młodzieży prawie nie mamy; bywają, jedne rzeczy lepsze od innych, ale prawdziwie dobre są niemal tylko te, przerabiane z dzieł, które były dla dorosłych pisane i jak w obecnej chwili Laskarys wielką, nietylko pedagogiczną zasługę przez to sobie skarbi, że dostarcza młodzieży naszej wybornych tego rodzaju książek — wybornych, jako obudzenie zajęcia w kierunku pożądanym.

Nauka, rozszerzając zakres wiedzy i myśli chłopca, daje mu poznać, że otaczająca go rze-

czywistość powszednia jest tylko ułamkiem wielkiej całości i to rozświecenie pod tym względem młodego umysłu stanowi tę pedagogiczną, formalną wartość nauki, która w stosunku do ducha ludzkiego ma znaczenie najwyższe. Zatem chłopiec, który się już uczy, zaczyna czuć, że są rzeczy wyższe, wspanialsze, piękniejsze nad otaczające go drobnostki codziennego bytu, nad konwencyonalności, w górę tego bytu się wynoszące, i ferment sił młodych, który już w piersi jego pracuje, sprawia mu pragnienie przebywania choć wyobraźnią wśród scen i spraw, nęcących go ku sobie wspaniałością, niezwykłością swoją. Dlatego to szczegóły z życia sławnych mężów, opisy dalekich, niebezpiecznych wypraw i podróży, powieści na tle wielkich zdarzeń, dramatycznie kreślone, zajmują gorąco tak chłopca, jak i młodzieńca już, a ten jego gust naturalny, to wielka dźwignia pedagogiczna; bo gdy młoda wyobraźnia przyjmie ten kierunek, już nie zejdzie potem do nędznych awantur, wśród których złe, niskie instynkty wydostają się na wierzch, opanowując żądną wrażeń młodość. Literacki smak syna już w domu, już za jego pierwszych lat chłopięcych tak zaprawi i temu napięciu nie dać się zmienić: to niewątpliwy obowiązek rodziców, pragnących dobrze dziecko swe wychować. Zwykle matka kieruje i kierować powinna pierwszym czytaniem dzieci: więc to zadanie, które na dział jej macierzyńskich obowiązków przypada, trwa, nie ustaje wtedy jeszcze, gdy chłopiec już poza domem przebywa.

Dostarczać mu od czasu do czasu dobrych, wyższe zajęcia budzących książek; przysyłać mu je, tworzyć mu na dni rekreacji przeznaczoną literaturę: to wielka prezerwatywa przeciw wpływom, które słusznie mogą niepokoić serca matek. Jako uzasadnienie ważności tego środka, niech mi posłużą zdanie jednego z bardzo rozumnych pedagogicznych autorów naszych.

„Chłopiec niechętnie się widzi małym i nie znaczącym; chciałby już być mężem, więc myślą sięga zawsze wyżej siebie. Dlatego też przedstawiajcie mu takich mężów, jakich widzieć i naśladować-by pragnął.“ — (Edward Hückiel).

Na innym miejscu tensam autor pisze: „Nauki historyczne potrzebne są zwłaszcza do tego, aby podawać uczniowi wzory wielkich ludzi i wielkich zdarzeń, któremi mógłby się przejąć, i to wzory doskonałości wyższych, nad zwykły trywializm ludzki. Takich wzorów otoczenie jego podać nie może.“ Więc wychowawcy należy je brać ze świata dalekiego, ze świata heroicznej przeszłości, a nakaz ten edukacyjny dowodzi zarazem, że dowiedziona, bezsporna już potrzeba popierania wpływów wychowawczych przykładami, czyni, tak z historią w nauce, jak z dobrego, rozumnie dobranego czytania poza nauką, bardzo ważny czynnik wychowawczy. Książkę, czy historyczną, czy też napisaną tak, że oddziaływaniami swoim do historycznej jest podobną, powinno się podawać w ręce wychowanka już nie dlatego, co w zakresie rozszerzonych wiadomości z niej skorzysta, czego się z niej dowie, czego się nauczy, ale co przy czytaniu uczuje i przed myślą sobie postawi — jaki świat działalności ludzkiej, w zwierciadle swej wyobraźni na kształcający go duchowo użytek odbije.

Dobra, troskliwa a wykształcona matka, od syna swego oddalona, powinna-by też w listach pisywanych do niego zrobić miejsce na pewien dział literacki — jemu w odpowiednim streszczeniu donosić, co sama czytała, od niego żądać z książek, które mu do czytania przeznaczyła, sprawozdania pewnego. Nie krytyki utworu, o nie... ale obrazu wrażeń otrzymanych, myśli w głowie, uczuć w sercu powstałych. Chłopiec inteligentny będzie nawet bardzo rad z tego, bo stanie mu się to przypomnieniem przyjemności przy czytaniu doznawanej, matka zaś zapozna się z wpływem, wywieranym przez książkę na umysł ten młody. A jaką to nicią moralną między synem a matką stać-by się mogło!..

Korespondencya matki z synem, taka czy inna — taka na jaką stać jej umysłowość: korespondencya stała, nierządka, należy do tak koniecznych obowiązków matki, jak danie synowi chleba i wody, gdyby łaknął i pragnął, bo



to jest posiłek ducha, ducha komunii, posyłana oddaleniemu. Oddalenia moralnego wtedy przynajmniej niema, bo dusza, serce matki wciąga się do syna przez przestrzenie, i dusza, serce syna przez przestrzenie do niej, do ogniska domowego, do jego błogosławionych, obronnych, ogrzewających wpływów, wraca.

To, aby tak było, otrzymane w ten, lub w inny sposób, jest świętym obowiązkiem matki, rodziców. Po wakacjach, gdy, jak ptaszki z gniazda, dzieci z domu odlecają, jej tak dzieła wpływów wychowawczych przerywać się nie godzi jak nie godzi jej się zapomnieć przy pacierzu codziennym westchnienia, wznoszonego za to swe dziecko do Boga.

M. Ilmicka.

## FRYC I FRYCEK

NOWELLA

Michała Wołowskiego.

(Dalszy ciąg).

Fryc był dzieckiem reakcji; francuzka szkoła zostawała wówczas jeszcze pod wpływem innym; więc w duszy Frycka ścierać się musiały dwie potęgi dwóch wprost przeciwnych sobie prądów, których pogodzić z sobą niepodobna. Fryc słuchał pilnie wszystkiego, co się działo w umyśle jego dziecka, umiał każdą teorią, jaka przyłgnęła do młodej duszy Frycka, na swoje przerobić modłę, wykazać mu całą czczość tych idealistycznych mrzonek; udawało mu się to wszystko dopóty, dopóki Frycek nie uczył dysharmonii w samym sobie i dopóki sam z sobą walk staczać nie zaczął. Frycek był z natury istotą miękką, jak do wosku lgnęły do niego z jednej strony humanitarne idee nauczycieli, z drugiej teorie egoizmu ojca; słuchał jednych i drugich; dziś wierzył jednym; jutro je potępiając, skłaniał głowę przed drugimi. W głowie jego rodził się zamęt teorii, z których praktyka życia nie pozwalała mu jeszcze wybrać żadnej.

Gdy ojciec, z dziwną drobiazgowością, rysował plany każdego wzgórza, każdej rzeczki, każdej łączki nawet, na alzackim gruncie, on słuchał wykładów ludzi, którzy głosili teorią miłości ogólnej.

Frycek rósł; jego czarne kędziory coraz harmonijniej otaczały białą twarzyczkę, jego piękne i zgrabne usta, czarny meszek pokrywający górną nad niemi wargę, nos orli, czoło wysokie, wzrost słuszny, składało się wszystko razem na piękne, w całem znaczeniu tego wyrazu, chłopca. Stary Müller patrzył na niego z zadowoleniem, klepał się po brzuchu, gdy słyszał syna jak mówił czysto paryzkim akcentem, i myślał sobie:

— Jak on dobrze będzie oszukiwał Francuzów!

Stary Müller zapomniał o tem, że wszystko idzie naprzód, wszystko ulega niezwalczonemu niczem prawu rozwoju, że każde nowe pokolenie poswojemu nową skibę składać musi i że teorie jego i przekonania nie są ani pietruszką, ani marchwią, które się można dowoli i które zawsze jednaki owoc wydadzą.

Prócz tych apostołów humanitarnych zasad stojących w sprzeczności z zasadami Müllera, młody Frycek tuż przy sobie miał stokroć niebezpieczniejsze apostołstwo, którego stary Fryc nie domyślał się nawet i zrozumieć go nie był zdolny.

To apostołstwo przyjęła na siebie para niebieskich, jak habry, oczów, znanych nam już od początku tego opowiadania.

Von Müller miał obowiązek dostarczania baronowi pieniędzy; rachunki te istniały między nimi dwoma tylko. Doktor myślał o swoich chorych w szpitalu i wokolicy, o Stelli i o baronowej; one nawzajem o nim i o tym światku małym, jaki sobie w Mülhausen zdołały utworzyć. Wiedziano przez lat kilka jak Müller pracował nie-

stannie nad owemi poszukiwaniami, dla których przyjechał. Tajemnice układu między nim a baronem były nieodstępne dla wszystkich, nikt się w nie mieszać nie ośmielał; a więc i cały stosunek pałacyku i owego schroniska Niemca był ściśle odgraniczonym, były to dwa światy zupełnie dla siebie obce, do których żadna ze stron nie miała zajrzeć ochoty; nawet von Müller, tak energiczny względem wszystkiego i wszystkich, nie mógł znieść tego chłodnego wzroku baronowej i z drogi jej się usuwał.

Na straży tej odrębności, tych dwóch odmiennych światów stał, jakby żołnierz na posterunku, uczciwy doktor.

Ideolog to był, tak go przynajmniej powszechnie nazywano, bo w sercu miał miłości wiele, w życie głęboko patrzył, a tego trzygroszowego sprytu, który to wszystko oblicza na łokcie i na funty, nie można się było w nim dopatrzeć ani odrobiny. Rodzina barona, u której początkowo schronienie znalazł, była dla niego wszystkim. Leczył im nie tylko ciało, ale leczył i ducha; sam będąc jednym z tych, co przecierpieli wiele, rozumiał boleść, a w spełnianiu obowiązków wyższych, we wzniesieniu się ducha ponad zwykły poziom małostek ludzkich, ukazywał lekarstwo przeciwko ciężarom życia, pod któremi tak wielu upada.

Stella była dla niego okiem w głowie, raz dla tego, że nie mając rodziny, w domu tym ją znalazł, potem, że jako człowiek widzący dalej, czuł ten upadek ducha w narodzie, którego także kochał, na którego liczył i wiedział, że odrodzenie się jego przez kobietę tylko nastąpić może. On chciał urobić taką kobietę ze Stelli, chciał ją pokazać jej ziomkom i tym sposobem spłacić dług zaciągnięty względem Francji.

Baronowa wierzyła mu, patrzyła nań, jak w słońce prawdy, i dzięki temu Stella wyrosła na płonkę, która obiecywała wspaniały owoc.

Frycek i Stella spotykali się często, dziećmi byli, a do małego czarnego chłopca dziwnie ciągnęło coś jasnowłosą dziewczynkę.

Ale doktor marszczył brwi, gdy mowa była o rodzinie Müllerów; Stella nadto kochała doktora, aby mu przykrość robić, mimo tego jednak ilekroć razy Frycek mignął się jej przed oczyma, odprowadzała go wzrokiem, dopóki jej z oczów nie zniknął.

A Frycek?

Frycek w domu pozostawał pod wpływem teorii ojca, które mu nakazywały nienawidzić ten głupi lud francuzki. Frycek skoro się zjawiał tylko w Mülhausen, od rana do wieczora słyszał jedno i tożsamo powtarzane zdanie:

— Ten pałac, te wsie, i te lasy, te fabryki i ci ludzie — do nas należeć będą; do nas, do ciebie. Zgnieł to wszystko, bez życia, stoczone robactwem rozpusty. Zmarnieć musi. Na ruinach my królować będziemy.

Frycek widywał jasnowłosą dziewczynę, ale jeszcze nic go tam ku niej nie pchało; świat jego duszy nie przekraczał dotąd książki i teoretycznych studyów.

Ostatnie czasy patrzył na wypadki, które przyspieszonym krokiem idą naprzód.

Rok 1870 się zbliżał; nad Francją wisiała już chmura, która w niedalekiej przyszłości miała wypuścić tysiące gromów i zaznaczyć się w dziejach jedną z najstraszniejszych i najkrwawszych wojen.

Na wiosnę roku tego pod strzechę ojca powrócił Frycek jako skończony młodzieniec. W duszy jego toczyły się tesame walki i powstawały tesame wątpliwości; skończył szkołę górniczą, został jak ojciec, inżynierem-górnikiem.

Stary Fryc, który kulturtregerską robotę swoją na długie jeszcze rozkładał lata, uczył zapach prochu w powietrzu; przyjął syna z otwartymi ramionami, posadził naprzeciwko siebie i zawołał:

— Słuchaj, będą się bić niedługo i zduszą ich niezawodnie.

— Kto i kogo? — spytał spokojnie młodzieniec. Müller oczy wytrzeszczył na syna, coś nakszttał gniewu przebiegło jego tłuste oblicze i zawołał rozdrażniony:

— Jakto? — pytasz kto i kogo? Alboż ci nie

mówiłem, że to prędzej czy później nastąpić musi! My wielkie Niemcy tryumfować będziemy! Wszakże całe życie moje do tego zmierzało tylko, aby tej wielkiej idei zjednoczonych Niemiec, na tym obecnie francuzkim a niegdyś niemieckim gruncie, przygotować odpowiednie podstawy. Dzięki mnie tylko, dzięki mnie, nasz sztab generalny zna tak dobrze Alzacyą, jak swoje dziecię palców. Ziemia, na której stoimy, ma w swoich wnętrznościach miliony, ale nie oddam ich francuzkim głupcom: tylko Niemcy z nich korzystać mogą i będą. Nadchodzi już czas, że zrobimy rachunki z baronem; dobrze mu zapłaciłem za te skarby, o których on wyobrażenia nie miał; musi mi to wszystko zwrócić: to logiczne przecie. Nie zwróci — zabiorę Mülhausen; to także jasne; a ty, mój chłopcze, będziesz panem, co się nazywa, całą gębą.

Von Müller z pewnym zaciekawieniem patrzył na syna, jakby badając wrażenia słów swoich. Twarz Frycka była zimną.

— No, cóż ty na to? — zawołał niecierpliwie tym razem Müller.

— Nie znam się na interessach tego rodzaju — odparł chłodno syn, wziął za czapkę i wyszedł.

Stary Müller z niezadowoleniem zauważył po raz pierwszy, że Frycek nie takim wrócił do Mülhausen, jakim on pragnął go widzieć.

Bóg interes był dla niego przez całe życie wszystkim, ideą główną, podstawą, a jego pierworodne i jedyne dziecko oświadczało mu wprost, że się na wartości tego bóstwa nie zna.

— Ale on ją zrozumie prędzej czy później — szeptał do siebie Fryc. To leży we krwi naszej, w naszym kulcie; wyrodzić się to przecie nie mogło. Postanowił tylko częściej jak przedtem zajmować się dopełnieniem edukacji syna w tym kierunku.

Frycek tymczasem po tej krótkiej rozmowie z ojcem wyszedł zadumany i począł jego słowa rozważać. Poraz pierwszy w życiu uczył jakiś wstręt nieokreślony ku temu działaniu ojca, które teraz dopiero rozumieć zaczynał.

Ciążyło mu coś na mózgu od chwili przybycia do Mülhausen, rozglądał się dokoła. Miękką jego, młoda entuzjastyczna natura, chowana wśród innych warunków, przybierała też charakter inny, aniżeli tego życzyłby sobie jego ojciec. Tam, w szkole, wśród grona towarzyszy, równie jak on młodych, rozpowiadano sobie, nie o interessach bynajmniej; tam praca tego rodzaju, jaką była praca starożytnego Müllera, zajmującego się zdejmowaniem planów za pieniądze, z natury i porządku rzeczy uważaną być musiała za uwłaczającą.

Frycek był smutny.

Było to dziecię już nowych czasów i nowych idei, dla których siła nie stała się już wszystkim.

Frycek w rękę trzymał książkę i siedł przed siebie, niemyśląc nawet o tem, gdzie idzie. Zdawał się uśmiechać się rozkosznie lasem; wiosenne słońce właśnie w tej chwili dodawało mu wdzięku, malowniczo oświecając jego wysokie wierzchołki drzew; niebo było czyste, spokojne, pogodne, jak zwykle przy pierwszych wiosnianych technieniach natury. Nawet dla ludzi mało wrażliwych to przecieranie oczów sennie natury ma powab niesłychany i nawet najzimniejszy powabom tym ulegać muszą. I Frycek im uległ. Ta woń wyglądających zaledwie z trawy kwiatków, ten powiew wiosennych wiatrów, ta zieloność łąk i pól, dzięki którym balsamiczne zapachy przepęlniały powietrze — odurzały go, a w myśli naprzemian snuły się słowa ojca — wspomnienia lat młodzieńczych na obcej spędzonej ziemi wśród towarzyszy dobrych. Można by było powiedzieć, że u dwójga jego uszu dwóch doradców stanęło w tej chwili i każdy co innego szeptał i czego innego uczył.

Frycek w zamysleniu takim doszedł do owego malowniczego lasku, którego środek przerzynał potok bystry; w wodę się patrzył i siedł za jej biegiem. Potok skręcał się na lewo, prawie pod kątem prostym i Frycek idąc w jego kierunku na samym kącie zagięcia zatrzymał się. Ścieżynka tutaj była bardzo wąską; z jednej strony gąszcz, z drugiej stromo spadająca kotlina, czyniły możliwym przejście po niej tylko dla jednej osoby.



Tymczasem na ścieżce tej znalazło się ich dwoje.

Z jednej strony Frycek, z drugiej—Stella.

Ona otworzyła na poły usta, ze zdumieniem wpatrując się w tego, który jej drogę zagrażał; on, poraz pierwszy zorientował się gdzie jest, a sytuacja tak go zmieszała, że nie wiedział sam co z sobą uczynić.

Dziewczę pokraśniało, on poblądł; spojrzeli na siebie oboje długim przeciągłym wzrokiem, jednym z tych, który jest najniebezpieczniejszym rekonesansem stron walczących o serce. Z porządku rzeczy wypadło się naturalnie cofnąć z drogi Fryckowi: uczynił to zgrabnie, a Stella przeszła obok niego krokiem niepewnym, chwiejnym i gdyby Frycek umiał być wtedy patrzeć, łatwo byłby w locie chwycił kilka badawczych spojrzeń, które z oczu Stelli ku niemu pobiegły.

Nie byłby młodym jednakże, gdyby nie zwróciła jego uwagi ta postać ślicznego dziewczęcia, wyglądająca niby Ondyna leśna z bukietem fiołków w ręku, w jasnej sukience, z puklami jasnych włosów, falującymi w powietrzu i wysuwającymi się spod okrągłego kapelusika.

Tak, Frycek widział to wszystko, a w jego młodszej wyobraźni to zjawisko ulokowało się silnie i w dalszej wędrówce nie opuszczało go ani na chwilę.

Chodził po lesie, tu i owdzie bez celu, myśleć nie mógł, bo ciągle ta jasna sukienka, te pukle włosów i ten okrągły kapelusik, przed oczyma mu stawały.

Doszedł wreszcie do końca lasu i wrócił się tą samą ścieżką. Gdy przyszedł do miejsca, w którym zjawisko owo spotkał, uczuł się znużonym i siadł, książkę rzucił opodal, głowę na dłoni oparł, i bezwiednie wsłuchiwać się począł w szmer liści, który w wiosennych rankach i wieczorach tak dziwnie i tajemniczo usposabia.

Czy marzył, czy spał, trudno mu było potem samemu zdefiniować: to pewna tylko, że uczuł się szczęśliwym, gdy dobiegł uszów jego szczebiot, nie ptaszęcy, lecz rozkoszny jakiś dziecienny prawie.

— Tak, spotkałam go, och! doktorze, jaki on przesłiczny chłopiec!

— Szukałaś kwiatków? — na ten szczebiot odpowiedział głos drugi.

— Tak, ale czemu nie chcesz mówić o nim, doktorze? Ile razy tylko zacznę, na co innego zwracam rozmowę. Czy ci to przykrość robi, że o nim myślę?

— Tak—była odpowiedź.

— Dlaczego? Ty, taki rozumny, taki dobry, taki kochający wszystkich, dla czego oddawiaś wna, jak tylko pamięcią zasięgnąć mogę, czujesz wstręt do tej niemieckiej rodziny z lamusa...

— Ty dziecko tego nie zrozumiesz.

— Przez całe życie uczyłeś mnie wszystkiego. Co wiem, co umiem — tobie zawdzięczam; tak mi wszystko łatwo przychodziło do serca i duszy czegoś ty uczył: dlaczegożbym teraz swoich słów zrozumieć nie miała?

— Bo są one wynikiem jednego uczucia, którego nie uczyłem cię nigdy i o którym nie wspominałem nawet, a którego pojęciem nie chciałem zatruwać twojej jasnej duszy.

— Mów mi więc o niem; ja chcę je znać koniecznie, mój dobry, mój kochany doktorze, jak się nazywa to uczucie?...

— Nienawiścią! — była sucha odpowiedź. Twarz doktora zmieniła się w tej chwili nagle, zmieniła tak bardzo, że aż Stella patrząc w oczy swojego przewodnika, odsunęła się od niego na chwilę.

Dziewczę z założonemi rączkami słuchało wpatrzona w niego i bolesne uczucia malowały się na twarzy Stelli. Frycek z drugiej strony słuchał tego wszystkiego, jak skamieniały i także uczuł, że go coś za gardło ścisła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## UZDROWIENIE PANI CELINY.

(Ustęp z życia Mickiewicza).

Napisał

Dr. Teofil Ziemba.

Było to 17-go \*) Lipca 1841 roku, około szóstej godziny po południu.

Mieszkańcy Paryża, którzy zwykli obiadować o tej porze, mogli wesoło zabawić się rozmową, ale w pomieszkaniu Mickiewicza, przy ulicy d'Amsterdam N. 1, wielki panował smutek.

Poeta bowiem dopiero co powrócił był z Vanvres, z owego-to domu zdrowia, dokąd z polecenia lekarzy już po raz drugi zmuszony był zawieźć biedną swą żonę.

Siedział więc teraz w pokoju swym, nad wszelki wyraz smutny i przygnębiony, myśląc o losie swych dzieci i o wielkiem swem nieszczęściu. Kto wie, czy nie zapłakał nawet nad położeniem swem. Zgodnie z owym rzewnym, tak prostym i tak pełnym prawdy, wierszem:

Polaly się lzy me czyste, rześiste,  
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie.  
Na moją młodość górną i chmurną,  
Na mój wiek męzki, wiek klęski,  
Polaly się lzy me czyste, rześiste.

I w rzeczy samej prawdziwy wiek klęski rozpoczął się teraz na dobre w życiu poety, gdy w tej chwili zapukano do drzwi, a niedługo potem wszedł do pokoju, jakiś niezajomy, około 40 lat liczący mężczyzna. Był on wzrostu mierzkiego, ale silnej budowy ciała, ubrany w długi bronzowy surdut, zapięty żołniersku, z wysokim, pod samą szyję sięgającym, kołnierzem.

To ubranie, tak proste i niezwykajne, jakaś śmiała, pełna energii postawa, przytem fizjonomia bardzo wyrazista i stanowcza, przypominająca cokolwiek rysy Napoleona I: wszystko to razem wzięte już od pierwszego wejrzenia uderzyło silnie wyobraźnię poety, a wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy niezajomy, przystępując bliżej, odezwał się temi prostemi słowy:

— Niech będzie Chrystus pochwalony!

— Na wieki wieków—odpowiedział poeta, gdy równocześnie przypominały mu się może słowa, które sam przed laty włożył był w usta księdza Piotra, w znanym ustępie z „Dziadów“:

Ty pojedziesz w daleką, nieznaną drogę  
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:  
Słuchaj męża, co więcej niżli oni umie,  
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię Boże...  
Słuchaj, co powie, on ci wiele dopomoże!..

Tym niezajomym był człowiek, który odtąd w życiu poety tak ważną odegrać miał rolę, — był *Andrzej Towiański*.

Jaka była dalsza rozmowa tych dwóch ludzi ze sobą? któż może opowiedzieć to z wszelką dokładnością, tembardziej dziś, po tylu latach, wobec tylu i tak rozmaitych opisów i opowiadań, których, niestety, niepodobna ani stwierdzić, ani stanowczo im zaprzeczyć, bo obaj uczestnicy owej rozmowy stoja już oddawna przed sądem Boga...

Mimo to, na podstawie kilku opisów mniej lub więcej dokładnych i wiarogodnych, a z drugiej strony korzystając z niektórych wzmianek zaczerpniętych z listów samego Mickiewicza, można sobie, choćby tylko w przybliżeniu, utworzyć obraz owej, w życiu poety tak ważnej i na dalsze jego losy tak stanowczo wpływowej, chwili.

Jednakże, nie pisząc powieści tym razem, i nie chcąc puszczać wodzów swej własnej wyobraźni,

zaczynamy od zestawienia niektórych szczegółów, wyjętych z opisów prawie współczesnych, bo skreślonych jeszcze w tym samym roku 1841, zatem pod świeżem wrażeniem owych wypadków.

W *Tygodniku Literackim*, wydawanym wówczas w Poznaniu, znajdujemy na str. 375 korespondencją z Paryża, pisaną 2 Października 1841 r. Bezimienny, bo tylko trzema gwiazdkami oznaczony autor owego pisma powiada, że Towiański przyszedł do poety wówczas, gdy tenże dopiero co powrócił z *maison de santé*, i siedział zasmucony.

Po krótkim przywitaniu i przypomnieniu znajomości miał się Towiański zapytać Mickiewicza: z kąd taka bolesć maluje się w jego twarzy. Poeta odrzekł: „Trudno się radować. Mam żonę cierpiącą i jej stan oplakany rozdziera mi serce.“ — Naprawdę! naprawdę! — odezwał się niezajomy. twoja żona jest zupełnie zdrowa; w tej chwili jest w tak dobrym stanie, że jej nie nie brakuje, prócz powrotu do ciebie. Chcesz-li się przekonać o tem? Jedźmy do niej.

Mickiewicz, zdziwiony tą mową, uśmiechnął się ironicznie i odpowiedział, że co dopiero ją opuścił, a zatem najlepiej wie o jej stanie. Niezajomy obstawał przy zupełnem ozdrowieniu z taką ufnością i pewnością, że Mickiewicz, upatrując w tem coś niezwykłego, dał się namówić wsiedli do powozu i pojechali. Żona zupełnie zdrowa, rozradowana, powitała wtedy Mickiewicza.

Opowiadanie, któreśmy tu podali, różni się pod niejednym względem od tego, co o wypadku pisały lub mówiły osoby żyjące w ścisłych stosunkach z Mickiewiczem i najzupełniej zasługujące na wiarę.

Takim jest przedewszystkiem opis znanego, wielkiej zacności, W. Chełchowskiego \*). Otóż, co czytamy w jego liście pisanym z Paryża do Ignacego Domejki, a mającym datę 9 Października 1841 roku:

„Towiański pierwszy raz przyszedł do Mickiewicza, kiedy ten, odwiózłszy żonę, tylko co był wrócił do mieszkania i ze ściśniętą utrapieniem duszą był w stanie blizkim rozpacz i zwątpienia. Wtem zameldowano, że ktoś chce go widzieć. Wtem zarekomendowaniu się i przypomnieniu, że przed dwudziestu laty spotkali się z sobą, zapytał Towiański: jak się powodzi? Mickiewicz odpowiedział, co ma z żoną za biedę. Jak mnie mówił, Towiański nie wiedział nawet, że i z kim jest Mickiewicz żonaty. Po wysłuchaniu relacji o chorobie, wytlómaczył, co to jest za choroba; później powiedział, aby coś zrobił nadal, a żona ozdrowieje, ale co takiego—nie wiem. Mickiewicz posłuchał, zaraz pojechał do *maison de santé*, i żonę, którą znalazł rozdąsaną i w excytacji, po zrobionej (*sic*) radzonej rzeczy, przywiózł do domu zdrową.

Dokładniejszym od obydwóch poprzednich wydaje się jest opis Niewiarowicza, a co więcej, że zgadza się on z napomknieniami samego poety.

Gdy więc według tegoż opisu, Mickiewicz wspomniał Towiańskiemu o chorobie swej żony, jako przyczynie swego wielkiego smutku, miał mu Towiański odpowiedzieć:

— Jak to, tyle pisałeś o duchach, a nie umiesz ani ich rozróżnić, ani ich odegnąć, jeśli ci szkoda?! Bądź dobrej myśli, ja żonę twoją uzdrowię.

Słowa te i w ogólności wszystko, co mówił wówczas Towiański, tak wielkie na Mickiewicza zrobiło wrażenie, że pewny był uzdrowienia swej żony, i nie wahał się zapowiedzieć tego panom Faucher i Wołowskiemu, którzy go, jako krewni pani Celiny, jeszcze tegoż samego wieczora odwiedzili. Stwierdza to list poety do generała Skrzyneckiego \*), w którym czytamy:

„Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowo Andrzeja, (który jej nie widział był), ogłosiłem krewnym, że będzie zdrowa.“

Z tego właśnie świadectwa wypływa najlepiej mylnosc opowiadań owych, według których Mickiewicz jeszcze tegosamego dnia pojechał miał po żonę.

\*) Datę powyższą stwierdza list Towiańskiego pisanym do Mickiewicza z Bruxelli 16 Lipca 1843 roku, a zakończony takim zdaniem: „Jutro „druga rocznica naszego szczęśliwego połączenia się.“

Współudział Mickiewicza etc. Tom I, str. 103.

1) *Korespondencya Ad. Mickiewicza. Paryż, 1880. Tom I, str. 244.*

2) *Korespondencya. Tom I, str. 249.*



Prawdopodobnie jest przypuszczenie, że poeta, stosownie do tego, jak mu miał Towiański poradzić, pojechał dopiero na drugi dzień do żony, aby ją uprzedzić i przysposobić do przyjęcia odwiedzin nazajutrz zapowiedzianych.

Jakoż tak opowiada Niewiarowicz, zapewniając, że wszystkie szczegóły dotyczące tej sprawy wie od samej pani Mickiewiczowej, i że przeto sprawozdanie jego jest „najsumienniejsze i najdokładniejsze.“

Według niego tedy pani Celina była wówczas w swoim pokoju zajęta przebieraniem się i strojeniem w coraz-to inny sposób, gdyż, jak wiadomo, była to właśnie jedna z oznak jej ówczesnego obłąkania. W tem dał się słyszeć dzwonek od bramy, a dźwięk jego takiego miał na niej zrobić wrażenie, że natychmiast rzuciła na ziemię wszystkie przybory stroju, przywdziała inną suknię i z niepokojem oczekiwała jakichś wypadków nadzwyczajnych.

Wkrótce wszedł doktor i oznajmił jej, że mąż z jakimś panem czekają na nią w ogrodzie.

Pani Celina pobiegła szybko naprzeciw przybyłym, którzy powitali ją z wielką powagą. Po tem przemówił Mickiewicz:

— Oto jest ten pan, o którym ci wczoraj mówiłem; ja cię z nim zostawię na chwilę: słuchaj-że go!

Po tych słowach Mickiewicza zaczął się Towiański przechadzać z panią Celiną po ogrodzie wypytując ją zrazu o wygodę w domu zdrowia, o doktora i t. p. Później miał się Towiański zapytać: czy p. Celina, biorąc za męża Mickiewicza, zastanowiła się nad obowiązkami, jakie ciążyą na żonie wielkiego człowieka?

— Miałam go zawsze za wielkiego człowieka, ale rzeczywiście nie oceniłam tej wielkości należycie i obowiązków moich ztąd wynikłych dostatecznie nie zbadałam.

Taka była odpowiedź pani Celiny.

— A więc powinności twoich nie dopełniłaś, których wymaga Bóg i szczęście Mickiewicza!

Słowa te wypowiedzieć miał Towiański z taką siłą, że wstrząsnęły nią aż do głębi duszy. Co potem mówił, tego już prawie nie słyszała.

„Czułam tylko te słowa—mówiła później Niewiarowiczowi—i zdawało mi się, że tonę, a słowa z ust jego są to nici ratunku mego, chwyciłam się ich, aż w sile połączonych nitek, za które się chwyciłam, znalazłszy dosyć podpory, wydobyłam się na brzeg przepaści i właśnie w tejże chwili spotkaliśmy się z Adamem.“

Wówczas-to Andrzej Towiański odezwał się do poety:

— Oto masz, bracie, żonę twoją zdrową; odwieź ją do Paryża. Co potem nastąpiło, to opowiada nam sam Mickiewicz, pisząc w liście do Skrzyneckiego:

„Wziąłem żonę wbrew zdaniu lekarzy, niewruszony ich zakłębom, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnym pomieszeniu, w kanikule, w gorąco i w czasie burzy.“

Gdy tak w powozie zamkniętym wszyscy troje powracali do Paryża, w drodze znowu pojawił się paroxyzm. Pani Celina wpadała w jakiś rodzaj zachwyty, w czasie którego wypowiadała jakieś zdania zarówno niedorzeczne, jak i głęboke.

W owej-to chwili usłyszeć miała znowu głos Towiańskiego, który jakby głos Mojżesza potężnie przemówił do niej i przywrócił równowagę jej władzom umysłowym.

Gdy wreszcie powóz stanął przed mieszkaniem poety, pani Celina była już zupełnie przytomną i zdrową.

Taką jest tedy owa historia uzdrowienia pani Celiny, która w swoim czasie tyle zrobiła wrzawy. Mickiewicz, pisząc o tem do Skrzyneckiego, dodaje po słowach już wyżej przytoczonych następujące, z głębi serca płynące, wyznanie:

„Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę. Wracam dziś z rekolekcji, którą odbyłem u księży Jezuitów i po spowiedzi i po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu to piszę.“

Dla uzupełnienia opisu owej chwili nie możemy pominąć jeszcze jednego szczegółu, który, zdaniem naszym, na szczególną zasługuje uwagę.

Czerpiemy go z listu Mickiewicza do Ignacego Domejki, pisanego z Paryża dnia 12 Października 1842 roku. Oto słowa, które pisał wówczas poeta do swego serdecznego przyjaciela:

„Masz wiedzieć, iż tu w emigracji zaszedł szczególny wypadek. Przybył tu z Litwy człowiek, którego ja uważam za proroka, który jest składem dziwnych tajemnic bożych i ma wiele mocy, bo żonę moją, która była ciężką chorą, zaraz modlitwą uzdrowił...“

Modlitwa tedy była ważnym w tym wypadku czynnikiem, modlitwa, której potęgi i cudownej mocy nikt zapewne nie zdoła odjąć, ani zaprzeczyć.

Ale kiedy odbyć się mogła owa modlitwa? Z opowiadania samej pani Celiny wypływa, że Towiański nie rozpoczął od modlitwy, lecz od zapytań podrzędnego znaczenia. Ale potem, po owym wyznaniu, uczynionem na zapytanie jego nastąpiła chwila, której pani Celina opowiedzieć nie była w możności. Słyszała ona tylko z ust Towiańskiego słowa, których chwyciła się, jakby uici swego ratunku.

Otóż domyślamy się, że były to właśnie słowa gorącej i głębokiej modlitwy. Od jednego z przyjaciół Mickiewicza, któremu on sam to opowiadał, słyszeliśmy, że twarz Towiańskiego w ciągu modlitwy owej miała wyraz tak wielkiego cierpienia, iż poeta na widok tego miał do niego przystąpić i prosić, aby zaniechał dalszego działania, jeżeli mu to tak wielką ma sprawiać boleść.

Aby wreszcie wyczerpnąć zupełnie sprawę owego uzdrowienia, nie możemy pominąć i tego, co sam Towiański miał o niej powiedzieć. W dziele pod tyt.: *Współdział Mickiewicza* etc., czytamy w zapiskach samego p. Andrzeja, że i on także uważał to uleczenie tylko jako skutek poruszenia duszy i skierowania jej ku Bogu; <sup>1)</sup> a zatem i on uważał tu ową modlitwę za czynnik psychologicznie najważniejszy i najbardziej skuteczny.

Któż zdoła uwierzyć w taką cudowność, i to jeszcze w czasach dzisiejszych? Zaprawdę, tylko ten, kto choćby raz w życiu szczerze i gorąco się pomodlił. Takim właśnie człowiekiem, pojmującym moc i znaczenie prawdziwej modlitwy, był niewątpliwie Mickiewicz. To też nie dziwny się jemu, gdy, mówiąc o niebezpieczeństwie życia swego w latach jeszcze dziecinnych, pisze na początku „Pana Tadeusza“:

Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy  
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!  
*Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,  
Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę  
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę  
I zaraz mogłem pieszo do tych świątyń progu  
Iść, za zwrócone zdrowie podziękować Bogu...*

W tem więc znaczeniu i tu owo cudowne powrócenie do zdrowia było skutkiem modlitwy, podobnie, jak później, w Kownie, poeta, tonący w Niemnie, cudowne swe ocalenie przypisywał westchnieniu do Matki Bożkiej, albo jak, pracując nad dramatem francuzkim, prosił Odyńca o zmówienie niekiedy pacierza na pomyślność tej pracy; lub jak, starając się w Lozannie o posadę, pisał do żony ztamtąd, aby na tę intencją poszła zaraz do spowiedzi (list z r. 1838).

W takim tedy znaczeniu pojmował Mickiewicz możliwość cudu nawet w wieku XIX. Wszakże sam o tem pisał w liście do Ignacego Domejki 1842 roku: „Ty mnie znasz i wiesz, że w *cuda wierzę*, ale lekki w sądzeniu nie jestem, i w działaniu ostrożny.“

Jednakże co jemu zdawało się być cudem, wielu ludziom mogło się wydawać czem innym. Dlatego, wiedząc o tem dobrze, mówi sam poeta w liście do Skrzyneckiego d. 23 marca 1842 r.: „Nie będę

1) „Je n'ai fait que provoquer son mouvement, et cet esprit ayant, fait vers Dieu ce pas que le mal empêchait jusque là, elle a été délivrée; c'est tout.“

ci więcej świadectw i dowodów przywożę; *wiele jest osobistych i drugim ludziom trudnych do uwierzenia!*

I otóż właśnie klucz do wyjaśnienia: dlaczego owi „drudzy ludzie.“ nie mogąc lub nie chcąc zrozumieć tych osobistych powodów, inaczej zapytywać się mogli na sprawę owego uzdrowienia; dlaczego jedni, jak między tymi Gołombowski w swoim pamflecie p. t. *Mickiewicz odstoniony i Towiańszczyzna*, przypuszczali, że Towiańskiemu pomagał w tym wypadku lekarz Ferdynand Gutt, (mimo, że tenże był wówczas na Litwie); dlaczego drudzy, jak np. Francuz *Esquiros*, w rozprawie p. t. *Maison de fous*, ogłoszonej w *Revue de Paris* z r. 1844 (tom 25, str. 34) tłumaczyli sobie owe uzdrowienie w sposób psychologiczny, zupełnie naturalny i daleki od wszelkiej cudowności.

Jednak to wszystko nie zdołało osłabić przekonania Mickiewicza, który jeszcze w r. 1846 pisał w liście do żony, że „cudowność“ jej uzdrowienia *on tylko jeden widzi i czuje*.

W każdym atoli razie był to wypadek nader ważny w życiu poety, bo odtąd poczyna się wiara jego w posłannictwo Andrzeja Towiańskiego.

## OSTATNIE UTWORY JOKAYA.

Gród Bogów. — Przez wszystkie piekła. — Ostatni Basza Budy — Bolivar.

(Dokończenie)

„Lecz patrz! oto — woła Jokaj dalej, do węgierskiego narodu, wykazując, czem jest teraz Turcyja: *człowiek chory*, u którego łoża śmierci odbywa się nieustanne konsylium, radzące, ile dni żyć on jeszcze może? Tak dzieje się zawsze z narodami, które nierozważnie marnują siły i zdrowie swoje, lecz jest naodwrot tam — gdzie się to skupia i w skupianiu tem pomnaża. Jokaj przyznaje narodowi swemu, że w ten sposób wzmocnił się on teraz i wyzdrowiał, że zwolna, ale ciągle postępując naprzód, zyskał rzecz wielkiej, ogromnej ceny: „nauczył się używać oręża potężniejszego, niż miecz i ogień,“ nauczył się cicho a ciągle, spokojnie pracować, i ci nawet, którzy go nie kochają, muszą go przecież szanować.

„Więc podnieś twoje serce, narodzie madziarski—zakończ — twoja przeszłość była taką, na jakąś zasłużył, i taką, na jaką zasłużysz, będzie przyszłość...“

„Bolivar“—jest to niewielka, historyczna nowella, interessująca tak, jak wszystkie utwory Jokaya, już z tego powodu, że chodzi tu zawsze o jakieś rzeczy wielkie—większe, niż losy jednego człowieka, jednego człowieka serce rozdarte, lub szczęściem obdarowane. Wprawdzie i wśród owych spraw wielkich, wśród wypadków dziejowych serca ludzkie również rwą się i człowiek z nieszczęściem o szczęście walczy, ale nietylko pole jest tu szersze i wspanialsze. Wśród takich zapasów wydstajające się z rozszerzonej piersi ludzkiej uczucia, stają się też wspanialszemi, nastrojają się wyżej, podniosłej. Dla czego romans historyczny tak w nowej literaturze upada, coraz to rzadziej się ukazuje? Czyżby ludzie dzisiejsi interessowali się tylko bieżącą chwilą sprawami, i to sprawami jednostki? Może, że tak jest do pewnego stopnia, może zagadnienia społeczne, przez tę jednostkę reprezentowane, budzą obecnie zajęcie takie, jakie niegdyś przywiązywano tylko do wielkich spraw dziejowych, do losów wielkich grup Ludzkości, związanych się narodami, ale jedno nieprzeszkadza drugiemu, drugiego nie wylacza, a że powieść historyczna, pisana z talentem, z ogniem silnego uczucia, budzi zawsze najwyższe zajęcie, dowód tego mamy w wielkim wrażeniu, jakie wywarły u nas utwory Sienkiewicza, i w wielkiej poczytności Jokaya. To nawet, czemu w dziełach węgierskiego pisarza zarzucić trzeba wielkie braki, co krytyki literackiej nie wytrzymując, jest przez nią sądzonem za rzecz niższej wartości, jeszcze do czytelnika po- ciąga, jeszcze nie jest nigdy przez czytelnika po-



gardliwie odrzuconem, i Jokay postawiony jest, właśnie przez historyczny swój romans w rzędzie pierwszych europejskich pisarzy.

„Bolivar“ przenosi nas na nowy zupełnie grunt, w dalekie, pozaoceanowe ziemie Ameryki Południowej. Jestto chwila, gdy wyzyskiwane, gniecione okrutnie przez Hiszpanią krainy tych stron podnoszą się przeciw metropoli, rządzącej niemi pomocozemu, i na wzór Ameryki Północnej chcą pozyskać byt niezawisły. Potrzeba im na to człowieka, który byłby drugim Waszyngtonem, ale potrzeba zarazem, aby człowiek ten znalazł ludzi zdolnych go zrozumieć, zdolnych działać z nim razem — społeczeństwa, któreby mógł wieść za sobą ku szczęściu i chwale. To stanowi węzeł dramatu: wielki człowiek i małoduszne społeczeństwo, którego nie może porwać i unieść za sobą, podnieść do tej ofiary, przez którą na ołtarzu świętej sprawy jednostki składają swoją próżność, swoje osobiste ambicje — swój egoizm. Walka z Hiszpanami już wre na całej linii, cała Kolumbia jest już w ogniu i Wenezuela dobywa wszystkich sił, aby wyprzeć Hiszpanów ze swoich granic. Ale siły te nie są dostateczne i Hiszpanie zwyciężają wszędzie, oddziały ochotników rozpraszają się, miasta poddają się pokolei i tylko jedno jeszcze, Bogota trzyma się, ale dni tego mężnego oporu zdają się policzone i jest to już tylko dziełem rozpacz, że obrona obleżonego miasta trwa dotąd.

Podniętą do tego zaciętego oporu są z jednej strony okrucieństwa Hiszpanów, popełniane w miastach zdobytych, z drugiej duma starych rodów hiszpańskich których serca przywiązały się do nowej ojczyzny, przenosząc na nią cały ten patriotyzm wyniosły i namiętny, który wzięli po przodkach, wychowywanych, pokolenie za pokoleniem, w walkach z Maurami. Oni to podtrzymują ducha kreolów i metisów, ich synowie walczą na wałach i giną na nich. Don Esteban di San Sol pierwszy między notablami miasta stracił już sześciu synów — wszystkich! ale ma jeszcze córkę i tej nakazuje spełnienie ofiary. Starzec niewidomy, nie może stanąć na wyłomie, więc oddaje jej stary miecz, który wypadł z ręki jej braci, bo dopóki kropla krwi jego rodu płynie w żyłach jakiejś istoty ludzkiej, miecz ten musi działać w godzinie niebezpieczeństwa. Ale kobieta jest słabszą, niż mężczyzna, i don Esteban dodaje córce obronę: zaręcza ją z młodzieńcem niemniej szlachetnym jak ród San Sol'ow, z don Gedeonem Sagaro. Jeżeli nadejdzie taka chwila, że dziewczyna powinna raczej umrzeć, niż żyć, jego obowiązkiem jest zabić ją i z tem-to poleceniem ojciec składa rękę pięknej Laurencyi w rękę don Gedeona. Ta jego ręka pała, bo on kocha — kocha oddawna, gorąco, namiętnie, ale ona jest tylko spokojną i poważną, tylko posłuszną woli ojca, bo jej serce nie uderzyło jeszcze. Don Gedeon jest mężnym rycerzem i szlachetnym młodzieńcem, przyjacielem jej poległych braci, i ona przyjmuje go, jak siódmego brata — przyjaciela. Tak... kobieta potrzebuje opiekuna, kobieta może nagle zesłać i Laurencya nie odsuwa ręki don Gedeona. Obok siebie stoją na wałach, obok siebie walczą podczas wycieczek, aż nadchodzi taka chwila, w której Laurencya mówi mu jednej nocy, będącej nocą wyroczną: — Don Gedeonie! jeżeli nawala Hiszpanów złamię ten mur piersi naszych, który zasłania wyłom uczyniony w okopach przez kule ich dział, tem krzesiwem, którym zapalasz cygaretkę twoją, skrzęś iskrę, któraby zapaliła lont miny, znajdującej się pod naszymi nogami. Tak chcę umierać...

— Dobrze — odpowiada jej młodzieniec. Umrzemy razem, pogrzebani przez gruzy tych wałów, które nie mogły zasłonić przed wrogami rodzinnego naszego miasta...

Już, już blisko jest do tego: już Laurencya widzi, że zapalona cygareta błysnęła wśród ciemności w ustach don Gedeona, za chwilę wszystko się już skończy: rozpacz, walka... wszystko! Wstrząśnienie... huk — i koniec wszystkim nędzom, wszystkim trudom życia!

Ona taka młoda, taka piękna, jej usta nie kosztowały jeszcze z czary życia żadnej słodyczy i już ma być koniec?

Już!... Ona stoi na wałach, on jest na stra-

sznem stanowisku swoim, gdy nagle staje się cud: w oblegających hufcach szerzy się naraz zamieszanie, łamią się, rozwierają, głosy jakichś niepojętych okrzyków wzbijają się w tył po za niemi...

To odsiecz! odsiecz, która jest też cudem.

O świcie dnia wschodzącego wzbili się na wałach uratowanego miasta okrzyk namiętny: El Liberador!... El Liberador! — woła Laurencya, wyciągając w zachwycie ramiona ku rycerzowi, który wiódł hufce zbawcze, a jest to rycerz młody i piękny, jakgdyby był rzeczywiście cudownym zjawiskiem, Michałem Archaniołem, spychającym w dół szatana. To Bolivar — Szymon Bolivar, od dzisiejszego poranku „El Liberador“ dla uratowanego przezeń miasta i całej krainy Wenezuela. Llanos, to jest bezmierne stopy żywnych łąk, zarosłych bujną trawą na wysokość jeźdźca na koniu, kryły w sobie tysiące zbiegów, rozproszonych w walce z Hiszpanami kawalerzystów — i dzielny, silnego ducha mąż, który nie powiedział sobie, jak biedna dziewczyna: Trzeba mi umrzeć... ale wołał: Trzeba mi żyć... zgromadził te szczątki rozbitych szeregów, zreorganizował je tam, wśród tych traw, gdzie koń i człowiek mogli zarówno znaleźć, nie tylko uchronę przed wzrokiem wroga, ale i pożywienie, obficie dostarczane przez naturę, i gdy oto po upadku kolejnym wszystkich miast i krain Kolumbii już tylko Wenezuela walczyła jeszcze z zamorskim wrogiem, on przyprowadził jej tę odsiecz zbawczą.

To był człowiek, którego potrzebowała Ameryka Południowa, człowiek, który mógł stać się dla niej Waszyngtonem, ale, niestety! nie znalazł on tu pod nogami takiego, jak tamten gruntul Niezgoda, namiętna pycha, ambicyja osobista, niezdolność do spokojnej, wytrwałej miłości kraju, dla którego nie umieli żyć dobrze ci nawet, którzy chcieli dlań umierać, podkopała dzieło, które mogli spełnić, lecz — niestety, nie spełnił Bolivar obrany na rok dyktatorem Wenezuela, składa w terminie władzę, tak jak to, biorąc ją, przyrzekł donnie Laurencyi, która stała się teraz jego ukochaną i narzeczoną i która przysięgła za niego narodowi swojemu, że go jej wybrany nie zdradzi. Aż do tej chwili złożenia władzy był też odłożonym ich ślub, gdy po spokojnem, przyjaznem zerwaniu węzła, który łączył Laurencya z don Gedeonem, została za wolą ojca zaręczoną z Bolivarem. Miłość ich powstała w tej godzinie uroczystej, gdy szczęściem uniesiona, jakoby do życia wracająca dziewczyna padła do nóg wybawcy, aby je ucałować. „El Liberador! — wołała wzruszona namiętnie, gdy wkraczał z wojskiem swem do miasta, lecz on podniósł dziewczę i chyląc przed nią głowę, powiedział ludowi Wenezuela, że El Liberador narodów — to kobieta, która umie tak czuć jak ona, tak kochać ziemię swoją, bo gdy miłość ta przechodzi z mlekiem jej piersi w piersi synów, staje się z niej potem iskra, zatłona przez kochankę i żonę, aby w godzinie trudnej, w godzinie niebezpieczeństwa i ofiary, zagrzewać mężów.

Lud czujący instynktownie, gdzie jest zbawienie, okrzyczał królem Bolivara, składającego władzę; ukoronowany, wyciąga ze swego tronu rękę do dumnej Laurencyi, bo termin naznaczony mu przez nią nadszedł, a on przecież dotrzymał jej słowa. Władza, którą teraz posiadał, to już inna: nieprzywłaszczona sobie, ale otrzymana od współobywateli — dla ich szczęścia, dla szczęścia ojczyzny...

Laurencya nie cofa się też: zostaje jego żoną, ale jest śmiertelnie blada pod zasłoną obłubienicy, którą zamieni też wkrótce na inną — na kir kałanu! Ona wie, że dumne, pyszne rody stare spiskują; wie, że don Gedeon jest na czele sprzysiężenia, i że w dawnej, niczem niezgaszonej niewawisici do tego, który mu ją wydarł, obrał się na zabójcę Bolivara. Lecz nieszczęśliwa czuje się jakgdyby zamkniętą w błędnem kole, bo nie wie po której stronie jest słusność, a po której zdrada — gdzie jest szczęście jej ojczyzny? Nie umie sądzić i wybierać, ale potrafi zawsze umrzeć za to, co kocha, potrafi spełnić obowiązek. Nie wy daje przed mężem spiskowców, ale nadstawia pierś za niego i umiera w pierwszą noc weselną, po jednym pocałunku ust ukochanego.

Wiedziała, że spiskowcy zaczajeni są w ga-

lery, przez którą Bolivar przechodzić będzie do sypialni z kaplicy, gdzie modlił się co wieczór. Dziś każe mu ona zmienić ten zwyczaj; każe mu czekać na siebie, i wyprzedzając go ukazuje się spiskowcom przebrana w jego szaty. Wysoka tak niemal, jak on, myli oczy zaciętego skrytobójcy, który niema czasu przyglądać się swej ofiarze i w półświetle lampy nocnej strzela, przeszywa kulą pierś Laurencyi, i gdy on z jednej strony uchodzi, z drugiej nadbiega Bolivar, i przyjmuje ostatnie technienie umierającej. Wyznała mu wszystko; on widzi, że kraj go odpycha, widzi, że siła jednego człowieka nie zbawi go, i oddała się. „Złożył berło rządów — zakończy Jokay — odwołał kodex „Boliviana“ i opuścił niewdzięczną ojczyznę, nie uznany, jak zawsze wielcy ludzie są nieuznani przez małodusznych.“

## ECHA Z BELGII.

Antwerpia d. 24 Września 1885 r.

Stowarzyszenie literacko-artystyczne międzynarodowe odbyło swój ósmy z porządku kongres w Antwerpii, ponownie zatem w Belgii, a to wskutek tego, że wyznaczone zebranie się w Madrycie, nie mogło mieć miejsca z powodu panującej tam cholery.

W roku zeszłym, a w tym samym czasie, zdając nam sprawę z siódmego kongressu w Bruxelli, mówiłem o Antwerpii, o jej gmachach, zakładach i t. d.: nie wracam więc dziś do tego przedmiotu; bo, trzymając się tego prawnego axiomu „non bis in idem“, nie chcę zapełniać tych kartek powtarzaniem opisów już znajomych rzeczy. Powiem więc trochę obszerniej o kongresie i o tem, co się na nim agitowało. Miał on albowiem większą doniosłość w tym roku, niż w latach poprzednich.

Pozwólcie sobie przypomnieć, że główną myślą przewodnią nowego stowarzyszenia i jedynym celem było uznanie i zabezpieczenie we wszystkich krajach własności literackiej i artystycznej, to jest przyznanie prawne, legalne pisarzom i artystom własności ich dzieł i utworów, nietyle pod względem moralnym, intelektualnym, bo nikt nie może przypuścić, aby to, com ja napisał, to, com namalował, lub wykonał w rzeźbie, nie było mojem własnem dziełem; ale pod względem zastosowania zasady, że dzieło moje, jakkolwiek mogą być sposoby użyte do rozpowszechnienia go w świecie, pozostaje przecież moją własnością, na równi z wszelką własnością w gruntach, domach, sprzętach i we wszelkich rzeczach, jakie tego są...

Ośmioletnie trudy w tym względzie podjęte przez stowarzyszenie międzynarodowe i ośm już odbytych kongressów pokazują cały przebieg tej sprawy i stanowią prawdziwą historią własności literacko-artystycznej. Ogłaszane coroczne sprawozdania z prac i czynności zjazdów dają zupełne i dokładne o tem wyobrażenie.

Dotychczas czynnością stowarzyszenia była żywa bardzo i ciągła propaganda zasad i praw o własności literacko-artystycznej. A jeżeli ta propaganda sprowadziła już uznanie tych praw i zasad w rozmaitych krajach, były to, jakby słabe tylko, niepewne i pierwsze kroki na tem polu. Ztąd wyszły prawo o własności literackiej, w Rzeczypospolitej San-Salvador, we Francji, w Hiszpanii i częściowe konwencje, zawarte pomiędzy rządami rozmaitych krajów w Europie.

Ale, jeżeli te prawa i konwencje rozwiązywały niektóre punkta tej wielkiej całości, różnorodność ich dążeń i szczegółowych rozporządzeń była znowu tak wielką, że prawie wszędzie spotykało się więcej przeciwności, niżeli jedności i zgody. Jedno wszakże, co górowało nad wszystkiemi, była ta kardynalna zasada, exystencyja niezaprzeczona *prawa własności literacko-artystycznej*, oraz ogólne, powszechne uznanie tej prawdy na całym świecie. Stowarzyszenie nasze może powiedzieć bez przechwałki, że było to owocem jego własnych trudów.



Raz jeden otrzymałszy tak ważną korzyść, potrzeba było ustalić jeszcze praktykę odpowiednio do zasady, wpłynąć na prawodawstwo wszystkich krajów świata. Dla tego celu musiało stowarzyszenie znaleźć sobie kraj, rząd, ukonstytuowaną, przyznaną władzę, któraby, przychodząc mu w pomoc, łącząc się z niem, konfederując niejako, podjęła się trudnego i ciężkiego zadania: wprowadzić tę sprawę w zakres dyplomatycznej działalności, to jest z drogi walnej, ubitej, ale nieobowiązującej nikogo legalnie, opinii publicznej, na której działało dotąd stowarzyszenie, przejść na drogę urzędowej, dyplomatycznej, prawodawczej czynności.

Tej ważnej i zaszczytnej pracy podjęła się Szwajcarya i skutek jej zabiegów i starań zgromadziła się r. z. pierwsza konferencya zwana „Berneńska“. Pierwsza jej czynność nie przyniosła żadnego wyraźnego, pomyślnego skutku w samej sprawie, o którą chodziło. Ale miała ona tę wielką wagę, że pierwszy krok na drodze dyplomatycznego porozumienia postawiony został oficjalnie i kwestya praktycznie już, legalnie i otwarcie wystąpiła.

Na konferencyi berneńskiej roku zeszłego, jeśli było wielu wezwanych, mało się znalazło wybranych. Wiele bardzo rządów odmówiło swego współdziałania. Przeciwnie konferencya mogła się ukonstytuować i położyć zasady, mające służyć na przyszłość za podstawę do układów międzynarodowych. To poważne i mądre postanowienie otrzymało swój skutek. I w tym roku na zwołaną powtórnie konferencyą do Bernu przybyli pełnomocnicy prawie wszystkich krajów, wyjąwszy Rosyi i Austrii. Rzecz bardzo ważna i godna uwagi, że Anglia i Stany Zjednoczone, które się dotąd trzymały upornie nazewną tej sprawy, w tym roku przysłały swych pełnomocników.

Z narad tej konferencyi wysiód ma: *Komencya tyżca się utworzenia związku międzynarodowego dla zabezpieczenia własności dzieł literackich i artystycznych*. Narady prowadzone były przy drzwiach zamkniętych: dziś więc jeszcze ogłoszone być nie mają, ale p. Ulbach, jeden z prezesów stowarzyszenia naszego, który był też delegatem rządu francuzkiego, oświadczył nam właśnie, że jeśli wniosek uczyniony przez delegacyą francuzką o zupełne porównanie prawa tłumaczenia i prawa reprodukcji nie został przyjęty, to z drugiej strony delegacya francuzka otrzymała to postanowienie, że odtąd autorowie w krajach związkowych będą mieli prawo w ciągu lat 10, zamiast trzech dziś dozwolonych, do upoważniania tłumaczeń z dzieł swych ogłoszonych drukiem.

Co zaś do *adaptacji*, to jest do *przeróbki* dowolnej jakiegobądź dzieła przez pierwszego lepszego gryzmołę, p. Ulbach powiada, że zgodzono się umieścić ją pod rubryką wzbронionych reprodukcji, jakie zostaną wykazane pod nazwą: *adaptation, arrangement* i t. d., które są widocznie czystą reprodukcją dzieła, czy-to w tejsamej lub w odmiennej formie, z odmianami, dodatkami, wypuszczeniami, mniej więcej ważnemi i które nie przedstawiają bynajmniej nowego utworu.

Do tak ważnego rezultatu, jakim jest ta Konwencya Berneńska, dodać należy drugi, niemniej ważny, wypadek, to jest prawo złożone dziś w Izbie Deputowanych w Belgii, prawo, które przyswajając sobie wszystkie zasady naszego stowarzyszenia, nadaje im sankcyą prawną i ostateczną. Ten akt tak liberalny i tak wielkiej doniosłości jest dziełem p. Beernaerta, dzisiejszego prezesa rady ministrów w Belgii i któremu stowarzyszenie nasze zawdzięcza szczególną opiekę i uprzejmość, jaką nie przestaje go otaczać Jego Excellencya. Ten wniosek tak liberalnego prawa był jednym z głównych powodów naszego zjazdu w Antwerpii, której rada municypalna i w ogólności wszyscy mieszkańcy z niezmierną uprzejmością przyjęli nas i ugościli w swych murach.

Stowarzyszenie, wezwane przez p. ministra, zajęło się czynnie rozpatrzeniem szczegółowym wszystkich artykułów nowego prawa. W liczbie członków naszego stowarzyszenia znajdują się najświetniejsi juryści i adwokaci trybunałów paryzkich. Pod przewodnictwem p. Pouillet'a, jednego z największych luminarzy trybunału pa-

ryzkiego, utworzona kommissya starannie i troskliwie rozpatrzyła i w poważnej a długiej dyskusyi roztrząsała wszystkie artykuły projektu tego prawa. Wynik tych rozpraw złożony zostanie p. prezesowi ministrów belgijskich i, jak się spodziewamy, wyświeci i sprostuje to, co nasze długie doświadczenie w tej sprawie pokazało nam jako szkodliwe, albo niedostatecznie określone w projekcie ministeryalnym.

Jestto, jak łatwo rozumieją moi czytelnicy, ważne zagadnienie. Rozprawy, jakie się toczyły w tym względzie w specjalnej naszej kommissyi i na posiedzeniach samego kongressu, zostaną jako najpoważniejsze świadectwo światła liberalnych dążeń i doświadczenia członków stowarzyszenia międzynarodowego. A te dwa wypadki: Konwencya Berneńska i prawo belgijskie o własności literacko-artystycznej są to prawdziwie warownie, które dźwignęły nasze ręce, nie dla naszej cześci chluby, ale dla dobra tego wszystkiego, co tylko jest talentem i trudem umysłowym.

Pozwólcie mi powiedzieć jeszcze słów kilka o tem, jaką zewnętrzną formę, jaką, że tak powiem, fizyognomią, miał ten nasz zjazd w Antwerpii. Nie jest to ani mniej interesująca, ani mniej ponętna strona tego kongressu, któremu wystawa powszechna, otwarta w tym roku w Antwerpii, dodaje jeszcze pewnego blasku, a chociaż nasze stowarzyszenie nie ubiega się za nim wcale, nie jest przecież dalekie, aby uznać, że wszystko, cokolwiek może posłużyć do większego rozpowszechnienia naszej myśli i musi być przyjęte uczuciem prawdziwej wdzięczności.

Posiedzenia kongressu rozpoczęły się w Sobotę d. 19 b. m. o godzinę kwadrans na trzecią po południu, w sali Koła artystyczno-literackiego i naukowego w Antwerpii, pod honorowem przewodnictwem Jego Exc. p. Beernaerta. Dalej zabrali miejsce pp. Ulbach, prezydent dzisiejszego kongressu, Chodźkiewicz, prezes stowarzyszenia literacko-artystycznego międzynarodowego; Biart, prezes Koła, gdzie posiedzenie miało miejsce; Merry del Val, poseł hiszpański w Belgii; d'Oliviera Chanizot, poseł portugalski, de Peralta, poseł Costa Rica i San Salvador w Washingtonie i t. d. Ławy sali były licznie zapełnione przez członków i publiczność.

P. Beernaert zagaja narady, wyrażając serdeczne życzenia. Raduje się z tej obecności kongressu w chwili, gdy prawo złożone przezeń w parlamencie otworzy pole do rozpraw, nad własnością której tak dzielnie bronią się członkowie. Spodziewa się wielu korzyści z tych rozpraw i ostatecznie ogłasza kongres jako otwarty. Po nim p. Ulbach składa podziękowanie ministrowi i radzie miejskiej za łaskawe a serdeczne przyjęcie. P. Biart w kilku wymownych słowach raz jeszcze pozdrawia kongressistów. Dalej zabierają głos poseł hiszpański, portugalski; po nich p. Chodźkiewicz dziękuje za przyjęcie, które tak serdecznie jest ofiarowane wszystkim członkom stowarzyszenia międzynarodowego. Cieszy się z tego tem bardziej, że kraj jego tem łatwiej się przypomina pamięci wszystkich tu przytomnych, że na sąsiedniej wspaniałej wystawie antwerpskiej wielu z jego współrodaków świetnie i zaszczytne zajęli miejsce, dając świadectwo o żywotności pracy i inteligencji narodu.

Następnie po odezwaniu się kilku jeszcze głosów i po odczytaniu raportu zdania sprawy z rocznych czynności stowarzyszenia przez sekretarza jenerałnego p. Lermine, posiedzenie skończyło się o wpół do czwartej.

Dalsze rozprawy kongressu znajdują ciekawi czytelnicy, których to może obchodzić szczególnie, w „Bulletynie stowarzyszenia“, wychodzącym w Paryżu co miesiąc. Nie będę więc tu wchodzić w szczegóły; powiem tylko, że bardzo interesującym było posiedzenie czwartkowe, na którym zabrali głos dwaj wynalazcy *nowego powszechnego języka*, przeznaczonego, w ich mniemaniu, do zastąpienia naszej zwykłej mowy i do ułatwienia międzynarodowych stosunków. Jeden z wynalazców, p. Goest, Amerykanin, czy Anglik, przedstawił swój systemat, który, prawdziwie mówiąc, nie jest językiem, ale rodzajem ułatwionej grafiki stenografów, drugi, pan Kirchof, professor w szkole centralnej handlowej paryzkiej, tłoma-

czył systemat profesora Schaleiera, znany pod nazwiskiem Vola-Pik, co ma znaczyć: *Vola*—ogólny, powszechny, *Pik*—język, mowa. Jest to bardzo racjonalne zredukowanie wszystkich reguł gramatycznych do najprostszyc formuł, a ztąd ułatwienie mechanizmu. Zapewne, ale zostaje słownik, którego się trzeba nauczyć; nim on przyjdzie do rozpowszechnienia, wiele jeszcze wody upłynie—i te próby, jeśli są ciekawe jako studia, nie mają, jak mi się zdaje, ani tej wartości, ani tej przyszłości, jaką zapowiadają wynalazcy.

Słyszeliśmy tu piękne koncerty; na jednym z nich wystąpiła sławna panna Tua, którą słyszeliście i wy już w Warszawie. Dano nam przedstawienie czysto-flamandzkie w teatrze (Komedy i dramat). Teatr piękny, aktorowie z talentem, ale, niestety, dla nieznających języka była to prawdziwie, jak mówią popolsku, „niemieckie kazanie“. Dziś kończą się posiedzenia kongressu. Jutro wycieczka okrętem do Wypsy Wschodu. I na tem mogłoby skończyć się moje sprawozdanie, gdyby nie zostawał nam jeszcze obowiązek dopełnienia tej kroniki kilku słowami o wystawie powszechniej antwerpskiej.

Kto raz w życiu widział jedną z wystaw powszechnych, ten może powiedzieć, że zna je wszystkie. Dla publiczności powszedniej, dla ludzi obcych wszelkiej industrii, ten nawał wyrobów wszelkiego rodzaju nagromadzony starannie, uporządkowany systematycznie i z wielkim smakiem, przynajmniej, jest jakby grą olbrzymiego kalejdoskopu i wywiera odurzające prawdziwie wrażenie. Znużone oczy i umysł tym blaskiem, tem migotaniem barw najrozmaitszych, najróżnorodniejszych kształtów, po pewnym czasie, nie zdają sobie jasnego rachunku z tego, na co patrzą, i człowiek kraży wśród tego potopu blasków jakby we śnie, jakby wypalił fajeczkę opium.

Nie będę wam opisywał szczegółowo, co mi stało w głowie po zwiedzeniu tej wystawy. Bardzo ona piękna, bogata i nauczająca ale dla ludzi fachowych Taki fabrykant, jakiegobądź wyrobu, patrząc na to, co współbracia jego w tym utworzyli zawodzie na całym świecie, może się nauczyć i skorzystać wiele; ale człowiek prosty, jak ja, literat, chybaby idąc na taką wystawę własnego kraju mógłby coś pojąć i zrozumieć, jeżeli nie co do doskonałości tego lub owego wyrobu, to przynajmniej co do bogactwa pracy i inteligencji narodowej.

Dlatego się też ograniczę tutaj. Zostawię na stronie wszystkich cudzoziemców. Są oni dosyć zamożni i nie braknie im na własnych pisarzach i chwalcach, bez mojej pochwały się obejdą, a powiem słów kilka o swoich, o naszych wystawach, których tu w cudzej komorze zastałem.

Uderzyła mnie wielkimi literami wypisana wzmianka: *Wielki medal złoty*, a w górze „Kommisschau i syn“ z Białegostoku czy Białostoku. Zatrzymałem się. Szukałem fabrykanta, ale, niestety, nie znalazłem go na wystawie.

Aż tu patrzę wysuwa się zpoza sąsiedniej szopy człek niewielki, zgarbiony trochę, w szarym kubraczku. Patrząc: coś mi powiada, że to musi być swój. Ja tedy do niego pofrancuzku zapytaniem: czy nie mógłbym zobaczyć bliżej i wyrobów białostockich i samego fabrykanta? Niema go w tej chwili, odpowiada mi grzecznie pofrancuzku, ale z akcentu poznaję, że to Polak. Tak było wistocie, jest to kommissarz urzędowy do tej wystawy i nazywa się Baraniewicz.

Wdaliśmy się wtedy w miłą rozmowę; oprowadził mnie, pokazał, wytłumaczył, że z powodu opóźnienia się oficjalnego uczestnictwa w wystawie antwerpskiej, mała bardzo liczba, i to większych tylko fabrykantów naszych, zdążyła przysłać swe wyroby. On sam, mówiący, jest delegatem wystawców tutaj i bardzo czynnie, bardzo troskliwie zajmuje się ich sprawą. Poprowadził mnie zaraz do sąsiedniego oddziału, gdzie były wyroby bawełniane; tam znaleźliśmy się wobec firmy K. Scheiblera z Łodzi.

Uprzejmy delegat wytłumaczył mi zaraz, jakiej to ważności jest ten zakład w Łodzi. Posiada on 240,000 wrzecion, 3,600 warstatów tkackich i 6,000 robotników pracuje w tym zakładzie, któ-



rego roczna produkcja wynosi na wartość 45 milionów franków.

Od bawełnianych wyrobów przeszliśmy do jedwabnych. Przyciągnęły nas tu ku sobie wspaniałe wyroby Hiellego i Dittricha z Zyrardowa. Zakład ten znowu, według mego przewodnika, posiada 21,000 wrzecion, 2,000 warstatów i używa 7,250 robotników. Produkcja roczna wyrobów na sumę 14 mil. fr.

Wyroby skórzane braci Pfeifferów z Warszawy zatrzymały nas najdłużej, bo to i piękne i doskonale okazy, a przytem ja trochę przypadkiem znam się na skórze. Z zadziwieniem widziałem, że nagroda przysądzoną została sąsiadowi Pfeifferów. Zapewne i ów to sąsiad popisał się nieźle, i jego wyroby mają swoje wielkie zalety, ale w gruncie nie mogą iść w porównanie z okazami warszawskiej fabryki. Było to więc jedynie skutkiem grzeczności, że nie mając do rozdania w tym rodzaju jak tylko jeden medal, przysądzono go temu, który, choć nie był godniejszym, ale za to był miłszym.

Są tu jeszcze i drobniejszych rozmiarów przedmioty. O tych rozpisywać się nie będę, bo i tak dużo miejsca zabrałem wystawą.

## DROBNE LISTKI.

— **Jan Canon**, zmarły w zeszłym miesiącu malarz austriacki, używający w Wiedniu od czasu śmierci Makarta najrozwłośniejszego imienia, był według tego, co korespondent wiedeński donosi do angielskiego *Ateneum*, Polakiem z pochodzenia, ale rozpoczynając karierę artystyczną, polskie nazwisko porzucił, jakoby trudno do wymówienia dla cudzoziemców. Było to w 1853 roku. Urodzony w 1829 r. zaczął od zawodu wojskowego, który opuścił dla sztuki, jako dwudziestoczteroletni młodzieniec. Mistrzami jego byli: najpierw Rahl, malarz wiedeński, potem w Paryżu Vernet i Delaroche. Zaznaczywszy się jako rysownik w rodzaju satyry politycznej, dobił się prędko rozgłosu, a następnie wziętości jako malarz portretów, zwłaszcza kobiecych. Malował i sceny wojskowe, bitwy; ale sława Makarta popchnęła go na inne tory. Najważniejszym jego dziełem jest: „Koło życia“ ogromne płótno, zawieszone w wiedeńskim Muzeum Historii Naturalnej — utwór mierny, wielkich rozmiarów i wielkich pretensji. Śmierć, spowodowana przez pęknięcie krwionośnego naczyń, zastała go przy dokończeniu zaczętych przez Makarta malowideł w nowym Muzeum Sztuki Historycznej. Pogrzeb miał wspaniały, z kilku wozami wiezionych za trumną wieńców, lecz bezwyznaniowy. Korespondent *Athenaeum* dodaje, że sława jego nie przeżyje współczesnych.

— **Testament admirała Courbet'a** odpowiada szlachetnemu jego życiu i bohaterskiej śmierci. Cały majątek, zebrany w ciągu życia, pędzonego skromnie i ze spartańską prostotą, zapisał Towarzystwu ratowania tonących, którego był założycielem we Francji. W testamencie bardzo krótkim, bo obejmującym niewiele legatów, napisał: „Wierzę, że moja siostra, moje bratowe i synowice, które są dostatnie, pochwalą to, com uczynił.“

— **Narodowe bogactwo Francji w książkach**, jest znaczne. Muncypalne Biblioteki Paryża liczą 100,000 tomów; Biblioteki Narodowe 700,000, rozsiane po miastach prowincjonalnych 4,500,000. Świeżo założone w Paryżu biblioteki przy szpitalach szybko wzrastają i trzeba przyznać, że jakkolwiek Paryżka Gmina ma w sobie coś zaczynu komuny i powandalsku niszczy w stolicy Fran-

cy ślady historycznej przeszłości, przecież o oświecenie klas ludowych dba bardzo.

— **Król Szwedzki** zawiadomił Paryżką Akademię Umiejętności, że kończąc w Styczniu 1889 roku lat sześćdziesiąt, ustanowi w ten dzień konkurs z nagrodą 2,500 franków i złotym medalem, wartości 1,000 frank., które mają być przyznane najważniejszemu odkryciu w dziedzinie nauk matematycznych.

— **Verdi** oddał piękną swoją willę: Novo d'Arda na szpital; dał 16,000 lirów dla ubogich w Basseto, a ponieważ żniwa tegoroczne okazały złe rezultaty, odstąpił wszystkim dzierżawcom swoim dziesięć od sta czynszów.

— **Sardou** pisze dramat, który ma być najzupełniejszym przeciwstawieniem „Teodory“. Przedmiot jest tegoczesny, dekoracje i wystawa, jaknajskromniejsze. W „Teodorze“ zasłoniły one dzieło literackie i Sardou spostrzegł się, że jest rzeczą mało bezpieczną dawać ludziom tak wiele szychu, bo olśniewci, mogą zaślepnąć na wszelkie inne blaski. Cyrk i balet mogły-by wtedy zastąpić dramaturgów.

— **Bjornstjerne** napisał sztukę pod tytułem: „Miłość i Geografia.“ Przełożona już na niemieckie, będzie tej zimy wystawioną w Hamburgu.

— **Korespondencya Racheli** z Adolfe Crémieux, znakomitym prawnikiem francuzkim, adwokatem i ministrem pod rządem drugiej Rzeczypospolitej, odsłoniła wiele ciekawych a nieznanych o niej szczegółów, a ten między innymi, że wielka tragiczka nie umiała pisać ortograficznie i że Crémieux musiał często pożyczać jej swego pióra, bo list, nawet przepisany przez nią z jego oryginału, był niemożliwym do przesłania ludziom. Crémieux i jego żona chcieli ją uczyć, ale daremnie, tylko sposobem pogawędki mogli czasem oświecić ją w pewnych przedmiotach naukowych. Nie znała wcale historii starożytnej, nie wiedziała nic pozytywnego o Grecji i Rzymie, wtedy nawet gdy grając, w Fedrze, w Horacjuszach, zachwycała ludzi. Crémieux opowiadał jej przy obiedzie, co to byli za ludzie, co to były za czasy, i wspomagał w ten sposób cudowną jej intuicyą. Listy Racheli do niego i żony, wyszły w niepospolitym zbiorze autografów, które Crémieux zebrał sobie z korespondencyi z najpierwszemi ludźmi swego czasu. Jest tam Thiers, Liszt, Talma, Wiktor Hugo, Ponsard, Sue, Janin, Dumas, Méry, Féval, Meyerbeer, Scribe, Halevy, Auber, Grisi, Tamberlick, Roger.

— **Tenor Marini** zażądał od Włoskiej Opery w Paryżu 8,000 franków za przedstawienie, co za dwadzieścia przedstawień, jakie chciano zamówić u niego na sezon nadchodzącej zimy, znaczący 160,000 frank. Ze względów osobistej życzliwości dla dyrektora opery, spuścił swoje żądanie do 120,000 fr., ale to zostało już postawionem, jako ultimatum.

— **Angielski pisarz sensacyjnych powieści**, Judson, znany w tamtejszej literaturze pod przybranym nazwiskiem „Ned Buntline“, przyznał się do pewnych tajemnic swego autorstwa. Prócz znanego pseudonimu miał jeszcze pięć innych, pomiędzy niemi jeden kobiecy i napisał pod ich osłoną blisko 400 powieści, co przecięciowo przynosiło mu rocznie od 20,000 do 60,000 funtów sterlingów. Na dzisiejszy kurs wynosi to od 200,000 do 600,000 rs. Zdawałoby się, że to szalona bajka, a jednak wszystkie pisma angielskie powtórzyły rzecz za *Timesem*.

— **Wystawa artystycznych wyrobów z metali** będzie tej zimy urządzoną w Rzymie w Pałacu Sztuk Pięknych. Żelazo tylko jest usuniętem, jako nienadające się do wyrobów wytwornych, zresztą wszystkie kruszce i wszystkie aliaże: miedź, brąz, złoto, srebro, mogą wystąpić do po-

pisu. Reprodukcyje otrzymane zapomocą galvano-plastyki choćby z arcydzieł, nie są także dopuszczalne.

— **Biblioteka uniwersytetu w Parmie**, należąca do rządu najbogatszych księgozbiorów, włoskich została okradziona na ogromną skalę. Jeden z literatów angielskich, czerpiący z niej niekiedy, zgłosił się tam w Sierpniu roku bieżącego o dzieło, które służyło mu niedawno do potrzebnych studyów, jeszcze nieskończonych; lecz nie było go nigdzie, i powstał alarm, a rewizya biblioteki wykazała brak blisko 5,000 tomów. Znalezione ich kilka-set u sekretarza biblioteki.

— **Okropny wypadek śmierci** spowodowała w Londynie zapalka, rzucona poza siebie po zapaleniu cygara. Stało się to na odbywającej się tam właśnie Wystawie Wynalazków. Ofiarą, która umarła od poparzenia w szpitalu S-go Jerzego, jest Mrs Bingley. Suknia zajęła się od dołu płomieniem i poparzenie było tak silne, że odwieziono ją dla ratunku do najbliższego szpitala, gdzie śmierć przysłała w dni parę, 10 Września.

— **Starożytne rękopismo**, pochodzące z klasztornej biblioteki na Monte Cassino, zostało znalezione przez włoskiego uczonego, prf. Gamurrini. Jestto opis pielgrzymki do Ziemi Świętej, odbytej w IV wieku naszej ery przez szlachetną damę francuzką, a raczej galijską. Ciężką tę rzecz ogłosił drukiem przegląd włoski: „Studi e documenti di storia e diritto.“

## I szta SZKOŁA KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek w roku bieżącym rozpoczętym został dnia 15 Września; — zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12 do 1 z południa. Desenie różne, oraz podług wzorów „Bluszczu“ i wszelkie przybory, potrzebne do wyrobu koronek, można nabyć w szkole koronkarstwa przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

### Tom III-ci Wydania zbiorowego

#### PISM

## NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

Wyszedł z druku, nakładem wydawcy *Bluszczu*, i zawiera:

**Książka pamiątek**, czytana przy kominkowym ogniu.

**List nie wiem czy i nie wiem dla kogo.**

**Adeodat na puszczy, w salonie, pod strychem, na ulicy, w chałupie, na cmentarzu.**

**Kwestya podrzędna**, przy kominkowym ogniu rozbiegana.

Prenumerata na całe wydanie składać się mające z 5-ciu tomów, wynosi:

W Warszawie 5 rs. (można wnosić częściowo po 1 rs. co kwartał przy odbiorze tomu).

Z przesyłką pocztą za każdy tom liczy się 1 rs. 10 kop.

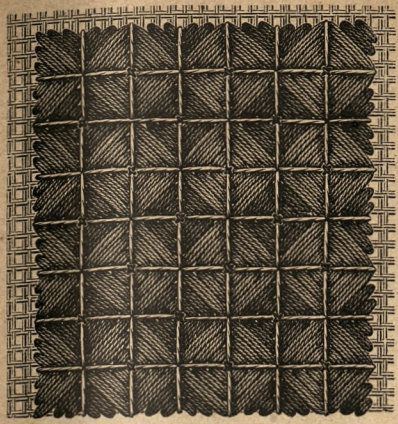
Nadsyłający odrazu prenumeratę na wszystkie 5 tomów płacą tylko 5 rs.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

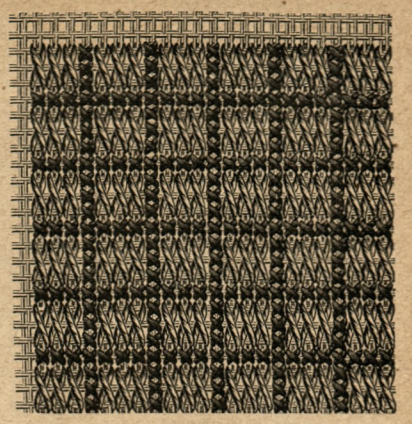
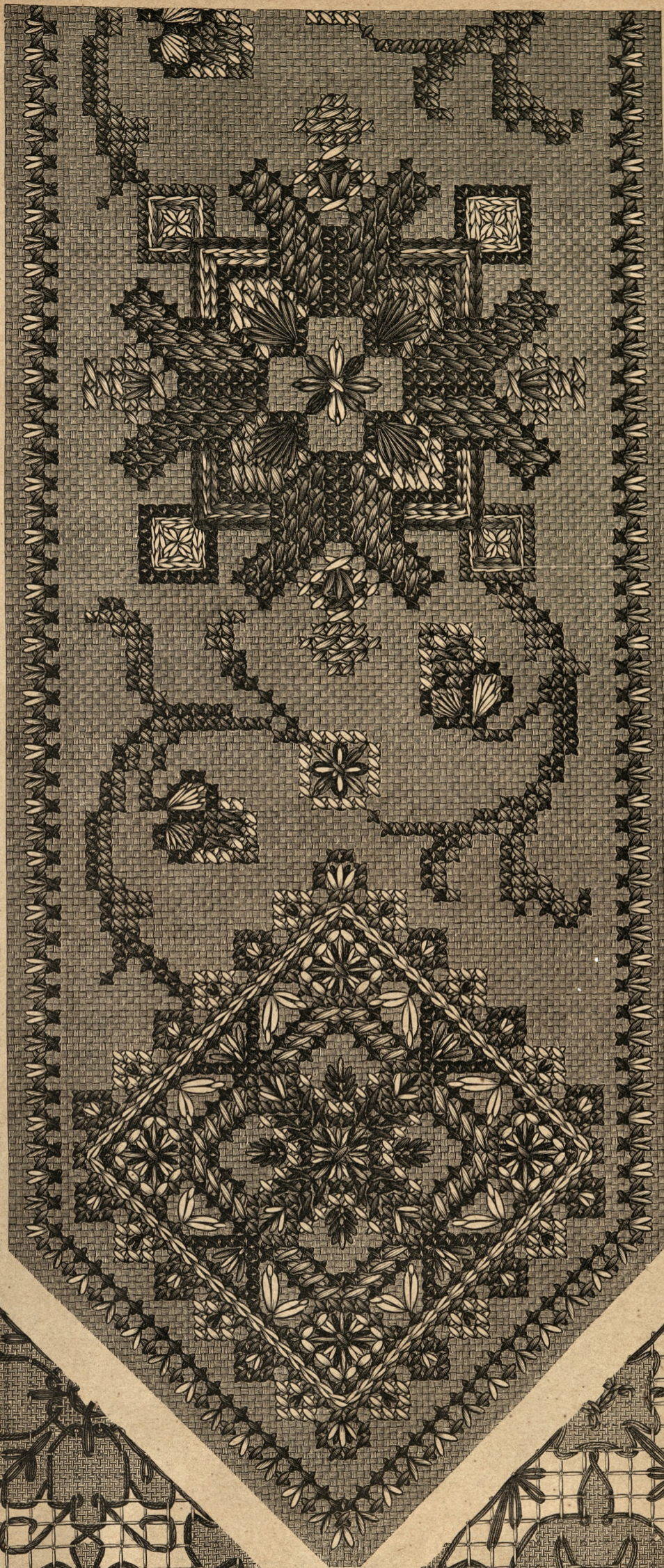
**TREŚĆ.** Po wakacjach II, przez Maryą Ilnicką. — Fryc i Frycek, nowella, (dalszy ciąg), przez Michała Wołowskiego. — Uzdrawienie pani Celiny, (Ustęp z życia Mickiewicza), przez Teofila Ziembę. — Ostatnie utwory Jokay'a, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Echa z Belgii. — Drobne listki.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 20 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.





Nr 1. Zahaftowanie tła lub deseniowych figur poduszki.



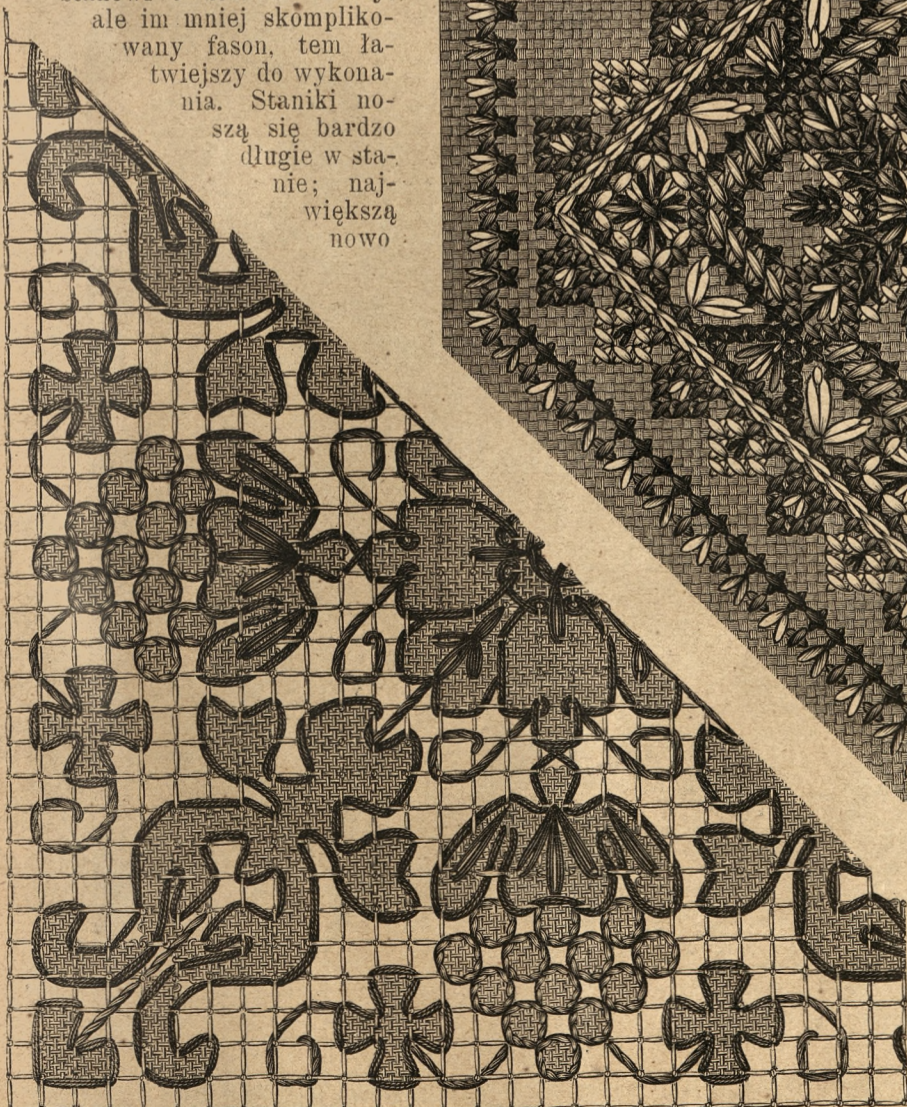
Nr 2. Zahaftowanie tła lub deseniowych figur poduszki.

### Przegląd mód.

Prostota w całym ustroju mody tegorocznej. — Staniki plisowane i różne tychże odmiany. — Pekiny. — Zarzucono chusteczki, zaboty. — Krawaty. — Aksamit. — Bielizna wraca do prostych fasonów. — Weba na wysypki i różne materiały na całe wyprawy pościelowe u p. Heurich. — Zakład reperacji biżuterii pana Krzemińskiego.

Przeważną cechą mód zimowego sezonu, jest najzupełniejsza prostota, nie zupełnie nowego i odrębnego nie zjawia się i to również zaliczyć należy do objawów obecnego nastroju, że zaczyna się zmniejszać ta pogoń gorączkowa, za coraz to inną nowością, która panowała jeszcze niedawno. Nie można też uskarżać się dzisiaj na zbyt wypracowane suknie, jak to było kiedyś, gdy falbanka leżała na falbance, a na tej ostatniej jeszcze pliska lub riusza — słowem owe bajeczne ceny za fason sukien, upadły dziś przy zupełnej prostocie wykonania. W prawdzie w każdym fasonie zręczność wykonania stanowi o dobroci roboty, ale im mniej skomplikowany fason, tem łatwiejszy do wykonania. Staniki noszą się bardzo długie w stanie; największą nowo

ścią są staniki plisowane, tak z przodu jak z tyłu: cały fason stanika nadaje się za pomocą plisowania tak z przodu jak z tyłu, a nawet najgładsze staniki przybierają się z przodu lub na piersiach, zamiast ranwersów, plisowaniem podłużnym — bywają nawet staniki plisowane z przodu w poprzek. Mowa to jest jednak o jedwabnych lub lekkich sukniach, cięższe mają zamiast plisowania, ranwersa, kołnierze, lub kamizelki pluszowe czy aksamitne — bo cięższe materiały nie dają się dobrze plisować; osoby cięższe powinny zwracać uwagę, aby nie przesadzić plisowaniem. Staniki plisowane zapinają się krytymi guzikami pod plisowaniem, gładkie zaś prawie wszystkie zachodzą na bok, gdzie są zapięte na drobne fantazyjne guziki. Ja to w zeszłym przeglądzie wspominaliśmy, do ciężkich sukien z materiałów fryzowanych zwanych „astrachan“, „bouclé“ i t. p., robią się „vetement“ — z lżejszej wełny, najmodniejsze są tu pekiny, czyli materiały prążkowane drobniej lub grubiej, często mieszane z dwóch materiałów: pasek wigoni jedwabnistego, a drugi morowy i tym podobne kombinacje, które słicznie się nada-



Nr 4. Część kwadr. tu serwetki ryc. 10. w Blu. Nr 41.

Nr 3. Pas do przybrania krzesel, sztorów i t. p. ścięciem krzyżowym, langietkowym i pocztowym.

Nr 5. Część kwadratu serwetki ryc. 10. w Blu. Nr 41.





Nr 6. Paltocik z repsu „ottoman”.  
Opis odwr. str. tabl.

Nr 7. Okrycie z wigoniu. P. ecy. (Do ryc. 14).  
Opis odwr. str. tabl.

Nr 8. Okrycie z gładkiego i w desen aksamitu. (Do r. 11). Krój i opis pier. str. tabl. Nr II fig. 11ab—16.

Nr 9. Okrycie z pluszu i atlasa. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII. fig. 27—33

Nr 10. Sukienka młodej. Krój i opis odwr. str. tabl.

Nr 11. Okrycie z aksamitu gładkiego i w desen. (Do ryc. 8).

Nr 12. Okrycie z angielskiego wełnianego materyału. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10.

Nr 13. Okrycie z wełnianego materyału. Opis odwr. str. tabl.

Nr 14. Okrycie z wigoniu. Przód. (Do ryc. 7).

Nr 15. Sukienka dla dziewczynki od 3 do 5 lat. Opis odwr. str. tabl.

Nr 16. Okrycie z dyagonału i „pekin-velours”. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 34—40



ją do terazniejszych plisowanych i fałdowanych spódnic. Z wszelkich więc tympodobnych materiałów, czy to fantazyjnych, czy gładkich, robią się staniki zupełnie krótkie do paska bez baskiny z bawetem z przodu i z tyłu. Zakietki krótsze aksamitne i sukienne, całe oszyte złotym galonem, lub grelotkami w kolorze sukna, zapięte na pasek, noszą się bardzo do gładkich sukiennych spódnic, z suto drapowaną tiuniką.

Wszelkie chusteczki, krawaty, zaboty, ustąpiły miejsca bardzo wysokiemu kołnierzu z aksamitu, który zapięty na fantazyjną broszkę, stanowi całą ozdobę szyi. Aksamit zdoi różnorodnie staniki, czasem od ramienia zachodzi na rękaw i na stanik, czasem poczynając od bawetu w górę zachodzi pod gors, niby szwajcarski gorset. Mankiety nie krają się równo, lecz podłożony aksamit stanowi niby spód rękawa, słowem wszędzie prostota największa.

Prostota ta sukien i kostiumów rozciąga się i do bielizny: krój koszul, spódniczek, kaftaników i t. p., jest o ile można najprostszy — całym wykwintem jest cienkość płótna i wartość koronek.

Przed adwentem mamy zawsze mnóstwo słów, a więc wypraw; otóż dla tych młodych pań notujemy, że dziś coraz więcej używa się na bieliznę madopalanu — najwyższy gatunek perkalu angielskiego — przychodzi to do nas z Francji, gdzie powszechnie tylko tego gatunku używają na bieliznę. Oglądaliśmy u pań Heurich przesliczne gatunki, przeznaczone wyłącznie na pościel. Na wysypki do poduszek oglądaliśmy płótna cienkie różowe i pasowe, tak gęste i cienkie, że nie potrzeba wcale podwójnej wysypki, która zawsze czyni pościel mniej elastyczną. Musimy tu dodać, że obecnie moda mieć chce, iż tak poduszki jak jaśki robią się czworograniaste — nie podłużne jak dawniej. Poczynając od zwykłego, tak zwanego „zapału“ pasowego i idąc coraz dalej, tyle rozmaitych rodzaj i gatunków posiadają panie Heurich na składzie, że wszedłszy tam i poświęciwszy parę godzin — można się zaopatrzyć w całą wyprawę — poczynając od wybornych materiałów na futra w jedwabiu i wełnie, oraz fantazyjnych francuzkich na kostiumy „bouclé“ fryzowane — do ślicznych wyrobów na szlafroczyki, przeważnie w pasy; w materiałach francuzkich zielony kolor ukryty, mieści się w każdym odcieniu, pod rozmaity postacią i tak: czy to w granatowym odcieniu, czy brązowym, nitka zielona być musi.

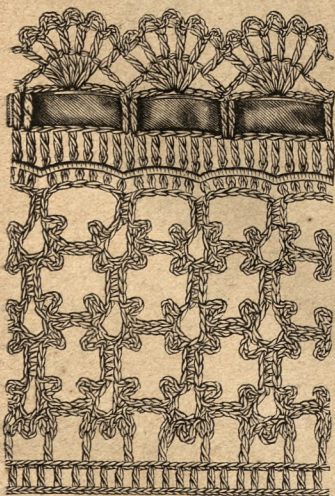
Użyteczną zapewne będzie wiadomość dla czytelniczek, że w środku miasta, bo przy ulicy Nowo-Senatorskiej, pod Nr 9, w podwórzu, znajduje się oddzielny domek, gdzie pan Krzeziński, kształcący się kilka lat w Paryżu, reperuje wachlarze wszelkiego rodzaju, biżuterie fantazyjne, szyldkrety, rogowe wyroby, drewniane, stalowe, słowem wszelkie drobiazgi, jakie tylko w skład naszych przyborów toaletowych wchodzić mogą. Za dokładność wykonania ręczę doświadczeniem.

L. C.

### Zahaftowanie tła lub deseniowych figur poduszki.

Rycina Nr 1 i 2

Haft na podzielnej kanwie, zielonym i paso-



Nr 18. Część karczka ryc. 17. Wielkość naturalna.

wym jedwabiem, ścięciem pocztowym, ozdobiony długimi ścięgami, cienkimi złotymi niemi. Na ryc. 2 krzyżujące się rzędy haftują jasno-błękitnym jedwabiem, ścięciem krzyżowym, w odstępie 3 par kanwy jeden do drugiego; kwadraciki wypełnione długimi krzyżkami, na 3 parach w górę i jedną parę na szerokość, jedwabiem koloru vieil'or.

### Pas do przybrania krzesła, stopy i t. p., krzyżowym, łańcuszkowym i pocztowym ścięciem.

Rycina Nr 3.

Haft wykonany na kolorowej, odpowiedniej do pokrycia mebli, wełnianej kanwie, różnobarwną hamburgską włóczką i filozellą, ścięciem krzyżowym, łańcuszkowym i pocztowym.

### Karczek do koszuli minardisa i szydeł. robotą.

Rycina Nr 17 i 18

Karczek zrobiony szydełkową robotą z minardisy i krętej bawełny Nr 60,



Nr 17. Karczek do koszuli minardisa i szydełkową robotą. (Do ryc. 18).

u góry zakończony koronką, przez dziurki której przewleczona kolorowa jedwabna tasiemeczka, związana z przodu na kokardę. Na zrobienie karczka trzeba zeszyć 112 cent. długi kawałek minardisy i robić z jednej strony jak następuje: Kolej 1 ciągle: 1 słup. w każdą pętelkę minardisy, na końcu 1 ściśle oczko w pierwszy słupek. Kolej 2: 4 pow. ocz., 1 słup. podwójny w najbliższe ocz., potem ciągle naprzemian: 3 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, 2 słup. podw. w 2 ocz. następne, na końcu 3 pow. ocz. i 1 ocz. ścis. w czwarte z 4 ocz. pow. tej kolei. Kolej 3: 1 ścis. ocz. w następny słup., \* 2 pow. ocz., 6 słup. w piąte ocz., 2 pow. o. 1 ścis. ocz. w piąte ocz., od \* powtarzać. Kolej 4: 3 ści. o. w 3 o. następne poprzed. kolei, 3 o. pow., 1 pikot (t. j. 4 o. pow., 1 ścis. o. w poprzedzające je oczko), 5 słup. przedzielonych 1 pikotem o najbliższe 5 słup., potem ciągle 6 słup. przedzielonych 1 pikotem o następne 6 słup., na końcu 1 o. ścis. w trzecie ocz., z 3 pierwszych pow. oczek. Kolej 5 z drugiej strony minardisy: \* 5 ścis. ocz. w następne 5 pętelek minardisy, † 3 pow. ocz. 1 pikot (na który 4 pow. ocz. i 1 ocz. ściśle w 1 z tychże, potem 1 ściśle oczko w poprzedzające pikot oczko) 2 razy naprzemian: pikot, 1 oczko ściśle w poziomą pętelkę ocz. ścis. przed pikotem; od † jeszcze 2 razy powtórzyć, potem 4 razy naprzemian: 1 pikot, 1 ścis. ocz. w poziomą pętelkę ścis. ocz. przed ostatnim pikotem, † 3 ści.

ocz. w 3 ocz. pow., pomiędzy pikotami, 3 razy naprzemian: 1 pikot, 1 ścis. ocz. w poziomą pętelkę ściśle ocz.; od ostatniego † jeszcze 1 raz powtórzyć, potem 3 ocz. ścis. w najbliższe 3 pow. ocz. i 1 ocz. ścis. w tę samą pętelkę, w którą zrobione ostatnie ocz. ścis., od \* powtarzać, zaczepiając przy każdym powtórzeniu środkowy z każdych 3 pikotów o środkowy drugi i trzeci poprzedniej kolei; na bawet z przodu karczka trzeba przy 5 powtórzeniach robić o 1 gwiazdkę więcej, przy szóstym, o dwie, przy 6 do 11 tak jak w 6, odąd zmniejszać liczbę gwiazdek w takim porządku, jak się je powiększało, a na końcu połączyć ostatnie pikoty karczka z pierwszymi. Dalej robi się u dołu karczka jeszcze dwie koleje w pierwszej: \* 1 słupek w pierwszy z 3 wolnych pikotów, 5 pow. ocz., 1 słup. w drugi pikot, 3 pow. ocz., od \* powtarzać, a na końcu 1 ścis. ocz. w pierwszy słupek tej kolei. Kolej 2: 4 pow. ocz., potem ciągle: 1 słupek, 1 ocz. pow., 1 ocz. opuścić, na końcu 1 ścis. ocz. w 3 ocz., z 4 pow. Na każdy rękawek zeszywa się 36 cent. długi kawałek minardisy i robi się jak karczek, tylko na klinik trzeba zrobić 1 raz 2 gwiazdki, 2 razy po jednej, potem znowu 2, a środek klinika oznaczyć koleją pow. ocz., zaczepiając je w miejscach, gdzie się łączą ze sobą pikoty. Rękawy przyszywają się na ramionach do karczka okrętką, na długości 14 cent.

### Szlak haftowany na serwetki, poduszki i t. p. ścięciem węgierskim.

Rycina Nr 20

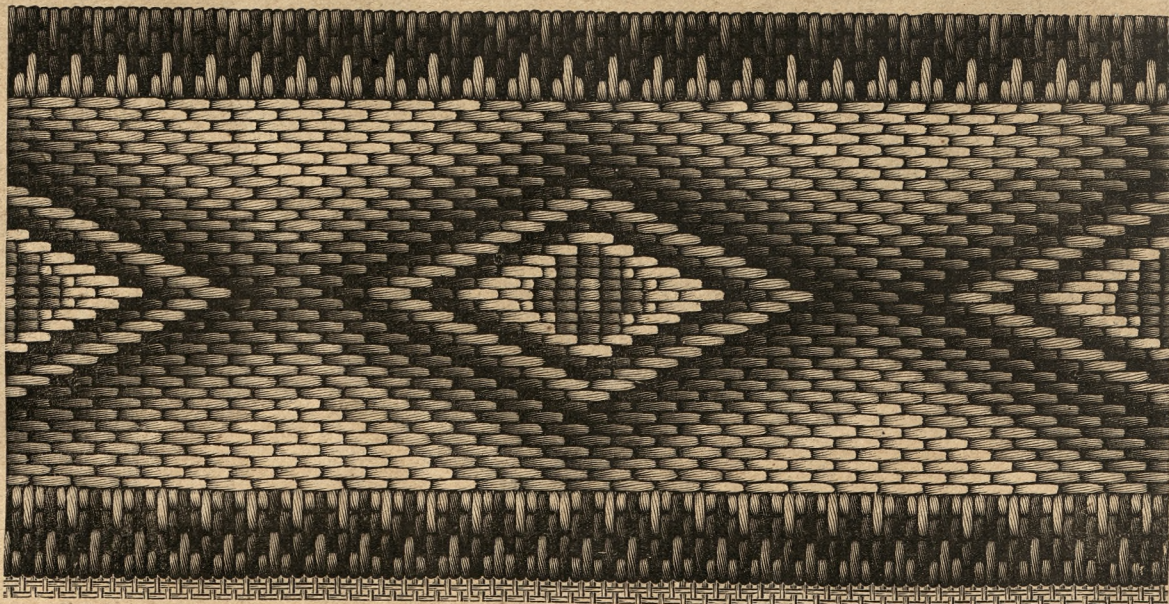
Szlak haftowany na niepodzielnej kanwie, pasową, zieloną i brązową filozellą w wielu odcieniach, oraz złotym jedwabiem. Cały pas, wyjąwszy środki deseniowych figur, haftuje się długimi mianami ścięgami „point-de-hongrie“ w skośne rzędy na czterech nitkach kanwy; wazkie brzożne szlaczki na 4 i na 2 nitkach, a środki figur tylko na jednej nitce.

### Obiad na Niedzielę.

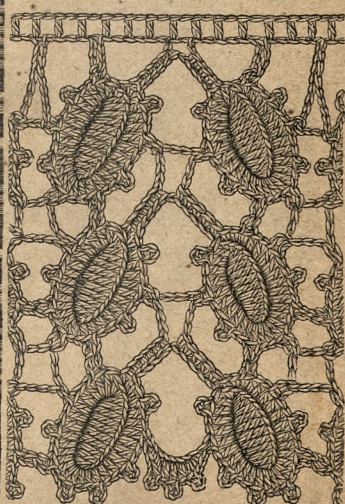
1. Zupa pomidorowa ze śmietaną z grzankami.
2. Paszteciki w naleśnikach ubrane smarzoną pietruszką.
3. Pieczeń wołowa z rożną z kartofelkami.
4. Szarlotka z jabłek.

### U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mające.



Nr 20. Haftowany szlak na serwetkę, poduszkę lub t. p. ścięciem węgierskim



Nr 19. Koronka do sukni robotą szydełkową.